

**PIERRE
CHODERLOS
LACLOS**

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Pierre Choderlos de Laclos

Niebezpieczne związki

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843538

Niebezpieczne związki:

Аннотация

„Na jakie bezdroża może nas zawieść pierwsze uniesienie! Szczęśliwy, moja piękna przyjaciółko, kto jak ty nauczył się nigdy mu nie ulegać!” Pulsujący namiętnościami obraz życia francuskiej arystokracji w XVIII wieku, dla której miłość to rozgrywka, cnota prowokacja, a pozory są wszystkim. Powieść epistolarna, której od początku towarzyszyła aura skandalu. Hrabia de Gercourt popełnił błąd – ściągnął na siebie gniew markizy de Merteuil, damy równie pięknej i inteligentnej, co bezlitosnej. Wzgardzona kochanka przygotowuje misterny plan zemsty i prosi o pomoc czarującego uwodziciela, wicehrabiego de Valmont. W sieć okrutnych intryg zostają uwikłane kolejne osoby. Czy ktokolwiek może wyjść z tej gry zwycięsko? Z wymienianych przez bohaterów listów wyłania się niezapomniana historia zemsty, pożądania i manipulacji, a jednocześnie opowieść o potędze słowa. Niebezpieczne związki doczekały się wielu ekranizacji, a w rolę markizy wcielała się m.in. Glenn Close.

Содержание

Tom pierwszy	5
Od tłumacza	5
Przedmowa nakładcy	8
Część pierwsza	21
List I	21
List II	24
List III	27
List IV	28
List V	33
List VI	37
List VII	41
List VIII	43
List IX	45
List X	48
List XI	55
List XII	59
List XIII	59
List XIV	60
List XV	62
List XVI	65
List XVII	67
List XVIII	69
List XIX	72

List XX	73
List XXI	76
List XXII	80
List XXIII	83
List XXIV	88
List XXV	91
List XXVI	93
List XXVII	95
List XXVIII	98
List XXIX	100
List XXX	102
List XXXI	103
List XXXII	105
List XXXIII	109
List XXXIV	112
List XXXV	116
List XXXVI	119
List XXXVII	124
List XXXVIII	125
List XXXIX	128
List XL	130
List XLI	134
List XLII	136
Dalszy ciąg listu XL	138
List XLIII	140

Конец ознакомительного фрагмента.

141

Pierre Choderlos de Laclos

Niebezpieczne związki

Tom pierwszy

Od tłumacza

Piotr Ambroży Franciszek Choderlos de Laclos urodził się w Amiens, w roku 1741, z rodziny mieszczańskiej. Jako młody chłopiec okazywał zamiłowania literackie, dziedziczne zresztą w tym domu. Jednakże, w XVIII w. literatura nie stanowiła jeszcze zawodu; zatem młody Laclos, po odbyciu studiów, zostaje, w 20 roku życia, oficerem artylerii. Łatwość pióra i zręczność w składaniu madrygałów uczyniły go pożądanym gościem paryskich salonów: w nich też zapewne gromadzi zawczasu materiały do przyszłego arcydzieła. W r. 1774 zwraca na siebie uwagę zgrabną sztuczką pt.: *List do Małgosi*; w 3 lata później pisze operę komiczną, jednak bez szczególnego powodzenia. W r. 1778, wysłany na prowincję jako oficer inżynierii, buduje fort na wyspie Aix; tam też, może aby rozproszyć nudę zapadłego kąta i orzeźwić myśl wspomnieniem błyszczącego paryskiego świata, pisze *Niebezpieczne związki*.

Dzieło ukazało się w 1782 i zyskało niebywałe powodzenie.

Była to jedyna książka, jaką Laclos napisał. Później, jeśli używa pióra, to jedynie na broszury, artykuły polityczne, etc. Ferment nadciągającej rewolucji nie sprzyja snadź¹ płodom czystego artyzmu. Może zraziła Laclosa i pieczołowitość policji, która umieściła jego książkę na indeksie i skazała ją na zniszczenie, jako „rozwiązań i nieobyczajną”.

W r. 1789 Laclos, na polecenie pani de Genlis, otrzymuje miejsce sekretarza księcia Orleanu. Niebawem staje się prawą ręką i duszą polityki księcia; fama, nie zawsze zresztą sprawdzona, przypisuje autorowi *Niebezpiecznych związków* autorstwo wielu intryg przeciw prawej dynastii, jakie knuł kokietujący z ludem, ambitny Filip *Egalité*. Równocześnie ze swoim panem Laclos wstępuje do klubu jakobinów. Przewodniczy klubowi w dniu uchwalenia detronizacji Ludwika XVI. W r. 1791 redaguje „*Journal des amis de la constitution*”. Po ogłoszeniu republiki wraca do armii jako generał brygady; w r. 1793 dostaje się w Paryżu do więzienia; ratuje go protekcja Robespierre’a, któremu podobno Laclos układał jego mowy. Niebawem znajduje się po raz wtóry w więzieniu, z którego dopiero 9 Thermidor wyzwala go ostatecznie. Przydzielony do korpusu generała Moreau, udaje się do Włoch, gdzie umiera w Tarenzie w r. 1803 na stanowisku generalnego inspektora artylerii.

Jedyna książka, jaką Laclos zostawił, zapisana jest w rzędzie trwałych bogactw literatury francuskiej. Jest ona podwójnie

¹ *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

ciekawa; raz jako nieporównany wyraz doby, w której powstała i którą maluje, po wtóre jako arcydzieło psychologii, mało równych sobie mające. Całą książkę wypełniają jedynie sprawy miłości, tak jak wypełniały one życie „towarzystwa” tej epoki, której „kto nie znał, ten nie wie, co to słodycz życia”, jak wzdycha później jeden z jej niedobitków. Najrasowsza szlachta francuska, zamknięta, od czasów Ludwika XIV, w złotej klatce dworu i skazana na przymusową bezczynność, odsunięta stopniowo od polityki, od administracji, nie znajduje naturalnych upustów dla swoich sił życiowych. Bujna młodzież, niezbyt garnąca się do służby wojskowej, wymagającej, w nowożytnym swym przeobrażeniu, za wiele karności, dającej zbyt wiele utrudzeń, a za mało zaszczytów, zużywa temperamenty w łowach, i w tych innych łowach, w których rolę osaczanej zwierzyny gra kobieta. Przygody miłosne, oto szranki godne rozwinięcia najszlachetniejszych przymiotów, oto pole popisu dla odwagi, zręczności, żądzy sławy. „Iluż wielkich dyplomatów, iluż wielkich polityków bezimiennych, zręczniejszych niż Dubois, przenikliwszych niż Bernis, wśród tej małej gromadki ludzi, którzy uwiedzenie kobiety czynią jedynym celem swoich myśli, wielką sprawą życia, jego przewodnią ideą i zawodem! Ile studiów, wytrwałości, umiejętności, namysłu! Ile kombinacji romansopisarza i strategika²!...”. Podczas gdy część tej Francji XVIII w. filozofuje, zajmuje się problemami ekonomii, polityki,

² *Iluż wielkich dyplomatów (...)* – E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

nauki, dla drugiej części miłość staje się treścią życia, rozmów, literatury, ulubioną zabawą towarzyską, przedmiotem ambicji, wszystkim.

Oczywiście, bóstwo to, obłąskawione w ten sposób i sprowadzone ze świątyni do buduaru, samo też nie mogło się uchronić od pewnych przeobrażeń. Cechą miłości w XVIII w. (zanim przenikną wpływy Russa) jest odarcie jej ze wszystkich zasłon. Ani śladu tu z owego ubóstwienia, jakim była otoczona w wieku Ludwika XIV; ani śladu z owego języka pełnego czci i kultu dla kobiety, osłaniającego swymi religijnymi niemal formułkami całą materialną stronę miłości. To wszystko odpada; *miłość* staje się synonimem pożądania, przelotnej skłonności, „wymianą dwóch kaprysów i zetknięciem dwóch naskórków”, wedle dosadnego określenia Chamforta. Zmienia się zwłaszcza *styl* miłości. W wieku XVII najbardziej płocha Celimena czuje się w obowiązku pokrywać przelotne fantazje swej nienasyconej zalotności frazeologią wielkich uczuć; w XVIII, przeciwnie, nawet prawdziwe uczucie ukrywa się wstydliwie pod maską obojętności i cynizmu. Jeżeli przywdziewa jeszcze niekiedy szaty trubadura, czyni to jedynie chyba przez rozpustę umysłową, aby, jak Valmont w stosunku do pani de Tourvel, szukać w tej zabawie świeżych podniet dla wyschłego serca. Syntezą epoki staje się głośne zdanie Buffona: „Jedyną rzeczą coś wartą w miłości jest jej strona fizyczna”; cały balast uczuciowy odpada, zazdrość nawet wychodzi z mody, osądzona jako śmieszny i niecywilizowany przeżytek. Kobieta, rada nie rada,

dostraja się do nowego stylu. Dawna bogini, która, jak słynna Julia d'Angennes, królowa *pałacu Rambouillet*, czternaście lat kazała wzdychać do siebie, nim uwieńczyła wytrwałe służby, dziś godzi się na znaczne skrócenie czasu obowiązujących zalotów. Wedle powszechnie głoszonego mniemania, „wystarczy kobiecie trzy razy powiedzieć, że jest ładna, aby za pierwszym razem podziękowała, uwierzyła za drugim, a wynagrodziła za trzecim”. Przypuściwszy nawet, że kobieta – szczególnie trudna lub początkująca jeszcze w turniejach miłosnych – opiera się dłużej niż jest w zwyczaju, wówczas zaloty trwają dwa tygodnie, miesiąc wreszcie: aż nadchodzi chwila, w której dama ukazuje się ze swym wielbicielem w łoży Opery, i w ten sposób – wedle zwyczaju, ceremonii prawie, uświęconej przez światowe panie XVIII w. – przedstawia niejako oficjalnie towarzystwu uwieńczonego kochanka.

W turniejach tych kobieta przechodzi nieraz i do czynnej roli. W pustkę uczuciowego życia wciska się przede wszystkim próżność. Pozycja towarzyska kobiety zależy niemal od tego, aby przykuć do siebie, bodaj przelotnie, mężczyznę, będącego w danej chwili na świeczniku. Mężczyzna „w modzie”, oto magiczne słowo, bardziej zwycięskie niż młodość, niż uroda. Taki mężczyzna może po kobietach deptać, pomiatać nimi, urok jego będzie się wzmagał jedynie. Co rano, budząc się, zostanie przy łóżku pakiet listów miłosnych, które – jak książkę Richelieu – rzuci niedbale do skrzynki z napisem: „listy, których nie miałem czasu przeczytać”. Po śmierci tego nestora

złotej młodzieży znaleziono pięć nierozpieczętowanych listów, błagających, w imieniu pięciu wielkich dam, o jedną godzinę jego nocy.

O względach dla kobiet nie ma w tym wieku „galanterii” mowy, jak również nie ma mowy o dyskrecji. Życiem swoim, każdym jego dniem, tworzyć anegdotę, która mogłaby się stać uciechą i zabawą salonów, oto marzenie wszystkich tych *petit-mâitre’ów*; oto, czym mierzy się ich wartość i uznanie w świecie, oto szczeble, po których wstępuje się na tron mężczyzny „w modzie”, bohatera dnia. Przygoda Prévana i jego trzech „nierozłącznych” (List LXXIX) – tak typowa dla XVIII w. przez swą czystość linii i symetrię – to jeden z wzorów tego, jakbyśmy dziś powiedzieli, *sportu*. Miejsce sentymentalnej gwary zajmuje u mężczyzn zuchwalstwo, impertynencja, smaganie szyderstwem najtkliwszych potrzeb serca. Posiąść kobietę, ani jednym czulszym słowem nie budując pomostu do usprawiedliwienia jej słabości: więcej nawet, stawiając jej przed oczy wspomnienie człowieka, którego kocha i zdradza, oto znamieny rys intelektualnej rozpusty wyziębłych don Juanów³. Do wysokości dogmatu podniesiona jest zasada, aby nie zrywać z kobietą, póki się nie posiada w ręku środków zgubienia jej.

Nie wszystkim z owych salonowych zdobywców danym był w snuciu przygód dar twórczej oryginalności. I moda miała tu swoje słowo. A słowo to brzmiało czasem paradoksem

³ Posiąść kobietę (...) wyziębłych don Juanów – Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*. [przypis tłumacza]

wcale interesującym: przykładem teoria – stworzona, na poparcie praktyki, przez współczesnego salonowego filozofa – iż najwyższy dowód względów i delikatności, odnośnie do kobiety, okazuje ten, kto ją bierze gwałtem; w przeciwieństwie bowiem do nieśmiałego i wyczekującego kochanka „szanuje jej wstydlivość i skrupuły, i, biorąc całą winę na siebie, oszczędza jej długiej męczarni stopniowych ustępstw oraz bolesnego poczucia, iż uchybia samej sobie⁴.

Kobiety, o ile czują się na siłach, nie zostają w tyle za mężczyznami. Słabsze stają się ich łupem, silniejsze zawczasu uczą się rozpoznawać „w dzisiejszym kochanku jutrzejszego wroga” i wypracowują całą sztukę, jak z pierwszego wyssać wszystkie słodczyce, nie wydając się drugiemu w ręce. Znamioną pod tym względem jest przygoda pani de Merteuil z Prévaniem (List LXXXV) i jej autobiografia (List LXXXI), do której, wedle zdania współczesnych, autor aż nazbyt wiele miał dokoła siebie wzorów. W rozpuście umysłowej, w bezwzględny złośliwym okrucieństwie, kobieta, w pewnym swoim typie, przechodzi niemal mężczyznę. Przejmuje od niego udogodnienia życiowe: „Dla hodowania swoich przyjemności starają się mieć ustronne domki, zupełnie na wzór sekretnych domków ówczesnych modnisiów. Gniazdko takiej kobiety sama tajemnie nabywa i urządza; odźwierny jest z jej ramienia i wyboru, aby wszystko było na jej usługi i nic nie krępowało jej swobody, gdy

⁴ najwyższy dowód względów i delikatności (...) – Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*. [przypis tłumacza]

zechce oszukać bodaj swego kochanka⁵”.

Oczywiście, przy tej łatwości obcowania płci, przy tym nadużyciu miłosnych wrażeń i upojeń, tępieją zmysły, chłodnie wyobraźnia. Stąd don Juan XVIII w. musi szukać coraz ostrzejszej zaprawy dla zużytego podniebienia: „W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka, jakby ujęty w reguły system gubienia. Zepsucie staje się sztuką, w której skład po równi wchodzi okrucieństwo, wiarołomstwo, zdrada, kunszt tyranii. Machiawelizm wciska się w miłości, staje się ich dominującą nutą. Jest to chwila, w której Laclos kreśli z natury swoje *Niebezpieczne związki*, ową książkę przedziwną i okropną zarazem, która jest tym dla moralności miłosnej we Francji XVIII w., czym traktat o *Księżciu* dla moralności politycznej Włoch w wieku XVI⁶. Ten rys okrucieństwa w miłości znamienym jest dla epoki: przesunąwszy się z dziedziny moralnej w fizyczną, dojdzie w markizie de Sade do najpełniejszego wyrazu.

Oto tło, na którym rozgrywa się historia *Niebezpiecznych związków*. Uderzająco silną i zwartą jest budowa tej książki. Pisana w listach z zachowaniem całej wytwornej sztuki epistolarnej, tak wysoko stojącej współcześnie, mimo to nie zawiera, można powiedzieć, ani jednego zbytecznego zdania:

⁵ *Dla hodowania swoich przyjemności (...)* – E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

⁶ *W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka (...)* – E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

każde ma swoją wagę, każde jest subtelnym dotknięciem pędzla, wzbogacającym całość obrazu o jakiś nowy i ciekawy szczegół. Na formie listów nie cierpi również w niczym akcja powieści: bieg jej, na wskroś dramatyczny, nawiązuje się mocno i jasno na pierwszych już kartach, płynie w skrętach i powikłaniach, aby ku końcowi pomknąć wartkim pędem ku katastrofie. Aktorów na scenie zaledwie kilkoro; jednakże węzły pomiędzy nimi pozadzierzgane tak misternie i różnorodnie, iż wyczerpują niemal całą psychologię miłości we wszystkich jej rodzajach, objawach i odcieniach.

Nad akcją dominuje postać margrabiny de Merteuil, w której rączce zbiegają się wszystkie nici intrygi. Jest to niewątpliwie jeden z najsilniej narysowanych typów kobiecych żyjących w literaturze: istota o równie gorących zmysłach jak oschłym sercu, mądra i przenikliwa tak, iż Valmont, razem z całą swoją eksperymentalną psychologią, jest przy niej i w jej rękach istnym dzieckiem, owa „urocza markiza” robi chwilami wrażenie aż wprost niepokojące. Pani de Merteuil, to mimo młodego wieku weteran zahartowany jak stal w owej nieustannej wojnie miłosnej, jaką było życie „towarzystwa” XVIII w., a w której dla pełnego sukcesu nie wystarczało rycerzowi posiąść kobietę, lecz trzeba było – mówiąc ówczesnym językiem – ją „zgubić”. Epoka, w której społecznie kobieta była pozbawiona wszelkich praw, faktycznie zaś, w panującej klasie, stała niemal ponad prawem, musiała wydawać takie typy.

Partnerem pani de Merteuil jest wicehrabia de

Valmont, ciekawy zwłaszcza przez domieszkę intelektualnego dyletantyzmu: zapowiedź typu, który tyle miejsca miał zająć w późniejszej literaturze. Genealogię jego można by wywieść poniekąd od don Juana Moliera, od którego wszelako Valmont jest bardziej wąty, a przynajmniej wydaje się takim przy silniejszej o wiele indywidualności pani de Merteuil. Korespondencja tych dwojga wypełnia główną część książki. W niej, zagrzewając się nawzajem w przewrotności i zepsuciu, snują wspólnie swoje plany; w niej czerpią oboje podniecie i zadowolenie miłości własnej z czynów skazanych z natury swojej na mrok tajemnicy: jedno stanowi dla drugiego publiczność. Różnica w tym, że pani de Merteuil, oddając się przyjemności tych przyjacielskich zwierzeń, nie przestaje ani na chwilę być panią swoich myśli i uczynków, nie przestaje być sobą, podczas gdy Valmont, można by powiedzieć, cały czas „zgrywa się” dla swej partnerki i, na przemian głaskany pochlebstwem i smagany drwiną, daje się prowadzić jak dziecko na pasku, nie tracąc ani na chwilę przekonania o swej rzekomej sile. Pochłonięty, o wiele więcej niż sam mniema, urokiem pani de Tourvel, Valmont wielokrotnie w zwierzeniach swoich zadrasnął panią de Merteuil w sposób, którego mu nigdy nie przebaczy. Odtąd, póty na nim wygrywa, póty go drażni i kusi, aż jej poświęci kochaną kobietę, by w zamian – rzecz najstraszliwsza dla bohatera pokroju Valmonta – zostać wystrychniętym na dudka. Wówczas, na chwilę, niby dwa wspaniale drapieżne zwierzęta, stają naprzeciw siebie do walki:

walki, w której Valmont pada, zanim zdołał się opatrzyć, jak dalece był jeno igraszką w rękę tej strasznej kobiety.

Nie mniej mistrzowsko i pewnie nakreślone są inne postacie dramatu. Danceny, to sama młodość, razem z jej niewinnością i brakiem charakteru, z całą grandilokwencją i emfazą w miłości, która w próbie życiowej okazuje się nie tyle miłością danej kobiety, ile potrzebą miłości samej. Autor idzie za nim krok w krok w śliskim labiryncie tej młodzieńczej psychologii; nie oszczędza biednemu kawalerowi ani jednego kłamstewka, aby wreszcie, ustami Valmonta, wydać wyrok, który brzmi tym okrutniej, że istotnie Danceny jest szlachetnym i sympatycznym chłopcem: „Oto ludzie! wszyscy jednako zbrodniczy w swoich zamysłach, niedołęstwu, jakie wkładają w ich przeprowadzenie, nadają miano uczciwości!”. Dominującym rysem bogdanki Danceniego, Cesi, jest na wskroś kobieca podatność, skazująca ją na to, iż zawsze będzie tym, czym zrobią ją silniejsze dłonie. W swoich prawdziwych „dziejach grzechu”, od pensjonarki świeżo wypuszczonej z klasztoru, aż na powrót do furty klasztornej, przebywa ten kawałek życia jako ledwie że świadoma i ledwie że winna igraszka w zbrodniczych rękach. Jej matka, pani de Volanges, to wyborny typ osoby troszczącej się o cały świat i jego naprawę, a ślepej na to, co się dzieje w jej własnym domu. Cechą jej, jak wielu osób specjalizujących się w cnotce, jest pewna próżność, którą pani de Merteuil wyzyskuje po mistrzowsku. Pani de Tourvel, w pierwszej połowie książki niecierpliwiająca nieco swą zabójczo rezonującą

doskonałością, w drugiej, kiedy przechodzi całe piekło mąk i upokorzeń, wzruszająca jest siłą uczucia i bezwzględnością oddania. Wreszcie, stara pani de Rosemonde, uroczą tym wdziękiem, który owej epoki był najprzedziwniejszym kwiatem i nad którym, zda się, ani wiek, ani choroba nie miały władzy.

Pomiędzy tymi to osobami rozgrywa się akcja powieści. Intryga jej streszczona nie dałaby w żadnej mierze obrazu dzieła. Tajemnica arcyzmu mieści się tutaj nie w wielkich liniach, ale w szczegółach, w przeprowadzeniu. Valmont kocha panią de Tourvel, która go ubóstwia, Danceny kocha Cecylię de Volanges i posiada wzajem jej serce: zdawałoby się, że z tej podwójnej sielanki nie sposób wykrzesać nic zajmującego! W jaki sposób Valmont depcze serce swej ukochanej, tak, iż staje się przyczyną jej śmierci; dlaczego po drodze łamie życie małej Cesi i sam ginie z ręki Danceniego, to tajemnica margrabiny de Merteuil i głębokiej polityki jej kobiecego machiawelizmu. Pani de Tourvel ośmieliła się tchnąć w Valmonta uczucie o tkliwszym i szlachetniejszym wyrazie, niż je żywił kiedyś dla pani de Merteuil – więc zginie. Nie ma dla niej ratunku ani przebaczenia. Valmont drasnął niezręcznie panią de Merteuil wynurzeniami swej miłości dla innej i odważył się pokrzyżować kaprys jej dla Danceniego – więc zginie. Cesia jest narzeczoną człowieka, który niegdyś ośmielił się pierwszy porzucić panią de Merteuil, zatem hańba jej jest postanowiona, iżby, wnosząc ją w dom przyszłego męża, pomściła tę zniewagę. Oto kobieta-demon, salonowy wprowadzie, ale jeden z najbardziej rasowych, jakie

wydała literatura. A jaka miła, jaka mądra! Dostać się w jej ręce nie radzę, ale porozmawiać z nią życzę każdemu.

Ciekawe były koleje tej książki. Wkrótce po ukazaniu się entuzjastycznie powitana przez jeden z bystrzejszych umysłów krytycznych tej epoki, Grimma, zyskuje olbrzymią poczytność i rozgłos, niewolny jednak od przymieszki skandalu⁷. Skazane na zniszczenie przez policję, zapomniane później wśród wulkanicznych wstrząśnień tworzącego się nowego społeczeństwa, dzieło to znika z horyzontu na lat niemal sto. Sainte-Beuve zaledwie o nim wspomina, romantycy obrzucają je wzgardą. Ku końcowi XIX wieku, w epoce rozkwitu psychologicznego romansu, imię autora *Niebezpiecznych związków* nabiera nowego blasku. Autor *Kwiatów grzechu*, Baudelaire, który nie mógł pozostać nieczułym na niezdrowy urok wydzielający się z kart tej powieści, opatrzył ją następującym nadpisem: „Ta książka, jeżeli parzy, parzyć może jedynie na kształt lodu”. Dziś powieść ta stałaby niechybnie „z buzią w ciup” na półkach między klasykami, gdyby nie to, że historycy literatury wciąż pobożnie się odżegnują na

⁷ rozgłos niewolny jednak od przymieszki skandalu – „(...) Nie ma w istocie książki, nie wyłączając Crébillona i jego naśladowców, w której skażenie zasad i obyczajów tego, co nazywa się dobrym towarzystwem, byłyby odmalowane z większą naturalnością, śmiałością i dowcipem: nie można się tedy dziwić, iż mało którą nowość przyjęto z takim zapalem; jeszcze mniej należy się dziwić temu, iż kobiety czują się obowiązane oburzać na tę książkę. Mimo całej przyjemności, jaką mogła im sprawić jej lektura, nie była ona wolna od żądła: w jaki sposób człowiek, który tak dobrze je zna, a tak źle dochowuje ich tajemnicy, nie miałby uchodzić za potwora?” („Correspondance littéraire”, kwiecień 1782). [przypis tłumacza]

jej wspomnienie. Przebywa zatem dotąd w regionach „literatury gorszącej”, zalotnie a niepokojąco z dala strzygąc okiem w stronę Pascala i Bossueta. Spotkają się kiedyś...

Boy

Kraków, 1912

Przedmowa nakładcy⁸

Poczuwamy się do obowiązku uprzedzenia czytelników, że mimo tytułu dzieła nie ręczymy za autentyczność tego zbioru, a nawet mamy poważne przyczyny mniemać, iż jest jedynie prostym powieściowym zmyśleniem.

Co więcej, zdaje się nam, że autor, mimo iż wyraźnie zabiega o prawdopodobieństwo, zniweczył je sam, i to bardzo niezręcznie, przez wybór epoki, w której umieścił opisywane wypadki. W istocie, większość osób, które wprowadza, tak mocno szwankuje na punkcie obyczajów, iż niepodobna przypuszczać, aby żyły w naszym stuleciu: w stuleciu filozofii, w którym rozlewająca się na wszystkie strony oświata, uczyniła, jak każdemu wiadomo, mężczyzn tak pełnymi zacności, a kobiety skromności i cnoty.

Sądzymy zatem, iż jeżeli wypadki opisane w tym dziele mają jakiś podkład prawdy, mogły się one zdarzyć jedynie albo w innym miejscu, albo w innym czasie. Mamy wielce za złe autorowi, że uwiedziony wyraźnie nadzieją wzbudzenia żywszego interesu⁹ czytelnika przez większe zbliżenie się do swego kraju i epoki ośmielił się, we współczesnych kostiumach i w świetle naszych stosunków, odmalować obyczaje tak bardzo

⁸ *Przedmowa – Przedmowa nakładcy* jest również pióra Laclosa i stanowi jedynie ironiczną mistyfikację czytelnika. [przypis tłumacza]

⁹ *interes* – tu: zainteresowanie. [przypis edytorski]

nam obce.

Aby, o ile w naszej mocy, uchronić zbyt dobrodusznego czytelnika od pułapki, którą zastawiono jego łatwowierności, poprzemy nasze mniemanie pewnym rozumowaniem. Przedkładamy mu je z całą ufnością, ponieważ wydaje się nam przekonywującym i nieodpartym; a mianowicie: te same przyczyny musiałyby przecież sprowadzać te same skutki, a przecież nie widzimy dzisiaj, aby panna mająca sześćdziesiąt tysięcy funtów rocznej renty wstępowała do klasztoru, ani też, aby jaka prezydentowa, do tego młoda i ładna, umierała ze zgryzot sumienia.

Patrzałem na obyczaje wieku i ogłosiłem te listy.

J. J. Rousseau, Przedmowa do Nowej Heloizy

Część pierwsza

List I

Cecylia Volanges do Zofii Carnay w klasztorze
urszulanek w ***

Widzisz, droga przyjaciółko, że dotrzymuję danego słowa i że czepeczki i stroiki nie pochłonęły tak dalece całego mego czasu, aby mi go nie zostało zawsze dla ciebie pod dostatkiem. A przecież w tym jednym dniu napatrzyłam się więcej strojów niż w ciągu czterech lat, które spędziłyśmy razem w klasztorze. Mama zasięga we wszystkim mego zdania; czuję, że jestem w jej oczach daleko mniej pensjonarką niż poprzednio. Mam własną pannę służącą, pokój i salonik wyłącznie dla siebie; piszę do ciebie na prześlicznym biureczku, do którego dostałam klucz i gdzie mogę chować i zamykać, co mi się podoba. Mama oznajmiła, że będę ją widywała codziennie przy wstawaniu; wystarczy, jeżeli będę uczesana do obiadu, i wówczas uwiadomi¹⁰ mnie co dzień, gdzie mam się z nią spotkać popołudniu. Resztą czasu mogę rozrządzać zupełnie do woli; mam swoją harfę, rysunki i książki, jak w klasztorze; z tą różnicą, że nie ma matki Annuncjaty, która by mi sypała

¹⁰ *uwiadomić* – zawiadomić, powiadomić. [przypis edytorski]

bury¹¹, i że, gdybym chciała, mogłabym nic nie robić od rana do wieczora; że jednak nie mam przy sobie mojej Zosi, z którą bym mogła śmiać się i gawędzić, wołę przeto skracać czas jakimś zatrudnieniem.

Jest zaledwie piąta; z mamą mam się spotkać dopiero o siódmej; czasu więc byłoby aż nadto, gdybym tylko miała coś do zwierzenia! Ale jeszcze nic a nic nie wiem; gdyby nie przygotowania, na jakie patrzę codziennie, i nie mnóstwo robotnic, które kręcą się tu wyłącznie tylko dla mnie, mogłabym myśleć, że nikomu się nie śni wydawać mnie za męża i że to była zwykła gadanina pocziwej Józefy. Jednakże matka powtarzała mi tak często, że panienka powinna zostawać w klasztorze aż do chwili zamążpójścia, że skoro mnie odebrano, Józefa musi chyba mieć słuszność.

Jakiś pojazd zatrzymał się przed bramą i mama kazała mnie zawołać natychmiast do siebie. Czyżby to miał być... Jestem nieubrana, ręce mi drżą i serce tłucze się we mnie. Pytam panny służącej, czy nie wie, kto jest u matki. „Owszem – odparła – pan C***”. To mówiąc, zaczęła się śmiać. Och, mam jakieś przeczucie, że to on. Wrócę zaraz, aby ci opowiedzieć, jak się wszystko odbyło. Wiem przynajmniej już, jak się nazywa. Spieszę, aby nie dać na siebie czekać zbyt długo. Do widzenia, za małą chwileczkę.

Toż będziesz sobie żartować z głupiutkiej Cesi! Och, jakże się zawstydziłam! Ale i ty byłabyś się złapała tak

¹¹ *spać buri* – ostro upominać. [przypis edytorski]

samo. Wszedłszy, ujrzałam czarno ubranego pana, który stał koło mamy. Ukłoniłam się najwdzięczniej, jak mogłam i zatrzymałam się w miejscu, niby wrośnięta w posadzkę. Możesz sobie wyobrazić, jak mu się przyglądałam! „Pani – rzekł do matki, oddając mi ukłon – córeczka jest zachwycająca i tym żywiej przychodzi mi odczuwać łaskę, jaką mnie pani darzy”. Na to tak wyraźne oświadczenie poczęłam drżeć na całym ciele, nie mogłam utrzymać się na nogach; na szczęście, spostrzegłam w pobliżu fotel: usiadłam, cała czerwona i pomieszana. Ledwie zdążyła to uczynić, już człowiek ten znalazł się u moich kolan. Wówczas twoja biedna Cesia straciła do reszty głowę; byłam, jak mówi mama, zupełnie nieprzytomna. Zerwałam się, wydając przeraźliwy krzyk... Ot, jak wtedy, podczas burzy, pamiętasz? Na to mama parsknęła śmiechem, mówiąc: „Co tobie, dziecko? Usiądźże i podaj panu nogę”. Moja złota, pokazało się, że ten pan, to po prostu szewc. Nie umiem ci opisać, jak bardzo się zawstydziłam: na szczęście nikogo nie było prócz mamy. Sądzę, iż skoro wyjdę za mąż, nigdy nie wezwę już tego szewca.

Przyznaj, że my, doprawdy, dużo wiemy o świecie! Do widzenia. Już blisko szósta; panna służąca mówi, że czas się ubierać. Do widzenia, Zosiu droga; kocham cię tak, jak gdybym jeszcze była w klasztorze.

PS Nie wiem, przez kogo posłać list: zaczekam, aż przyjdzie Józefa.

Paryż, 3 sierpnia 17**

List II

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont
w zamku ***

Wracaj, drogi wicehrabio¹², wracaj; cóż ty tam robisz, co możesz robić u starej ciotki, która cały majątek zapisała już na twoje imię? Ruszaj natychmiast w drogę: potrzebny jesteś. Przyszła mi do głowy wspaniała myśl i tobie pragnę powierzyć wykonanie. Te kilka słów powinny by wystarczyć: aż nazbyt zaszczycony wyborem powinien byś stawić się z całym pośpiechem, aby na kolanach odebrać me rozkazy. Ale ty nadużywasz mej dobroci, nawet wówczas, kiedy przestałeś z niej korzystać, i w wyborze, jaki mam przed sobą, albo wieczystej nienawiści, albo bezgranicznego pobłażania dla ciebie, jedynie szczęściu swemu zawdzięczasz, iż dobroć moja bierze górę. Zatem spieszę wtajemniczyć cię w swoje zamysły: lecz przysiąż¹³, że, jako wierny rycerz, nie pogonisz za żadną inną przygodą, póki tej nie doprowadzisz szczęśliwie do końca. Jest ona zaprawdę godną bohatera: masz służyć razem miłości i zemście; słowem, będzie to jedno dzieło

¹² *wicehrabia* – tytuł odnoszący się do rodziny hrabiowskiej, gdzie tytuł hrabiego przypadał najstarszemu członkowi rodu, zaś tytuł wicehrabiego jego synowi; funkcjonował także we Francji jako samodzielny tytuł arystokratyczny, nadawany rodzinom bez tytułu hrabiowskiego. [przypis edytorski]

¹³ *przysiąż* – dziś popr.: przysięgnij. [przypis edytorski]

więcej do umieszczenia w twoich pamiętnikach: tak, w twoich pamiętnikach, gdyż chcę koniecznie, aby kiedyś ukazały się w druku i sama podejmuję się je spisywać. Ale zostawmy je na razie, a wróćmy do tego, co mnie w tej chwili zaprzęta.

Pani de Volanges wydaje za mąż córkę: to jeszcze tajemnica. ale zwierzyła mi ją od wczoraj. I kogo, myślisz, wyszukała za zięcia? Hrabiego de Gercourt. Któż by powiedział, że ja mam zostać kuzynką Gercourta? Po prostu nie posiadam się z wściekłości... Jak to! Nie domyślasz się jeszcze? O głowo niepojętna! Czyżbyś mu już przebaczył przygodę z intendentową¹⁴? A ja, czyż nie więcej jeszcze mam przyczyn uważać się na niego, ty potworze¹⁵? Ale panuję nad gniewem i nadzieja zemsty rozpogadza mą duszę.

Sto razy musiała ci się dać we znaki, tak samo jak i mnie, owa nadęta uroczyść, z jaką Gercourt rozprawia o tym, co za wszelakie przymioty musi posiadać jego przyszła żona, oraz głupia zarozumiałość, która każe mu mniemać, iż on właśnie zdoła uniknąć nieuniknionego losu. Znasz jego śmieszne urojenia na punkcie klasztornego wychowania

¹⁴ *intendentowa* – żona intendenta; *intendent*: urząd administracyjny w prowincjach francuskich przed rewolucją. [przypis edytorski]

¹⁵ *mam zostać kuzynką Gercourta? (...)* – aby zrozumieć ten ustęp, trzeba wiedzieć, że hrabia de Gercourt opuścił markizę de Merteuil dla intendentowej ***, która poświęciła dla niego wicehrabiego de Valmont i że wówczas markiza i wicehrabia zbliżyli się do siebie. Ponieważ zdarzenie to sięga znacznie wcześniej niż wypadki, o których mowa w niniejszych listach, przeto autor uważał za stosowne pominąć całą odnośną korespondencję. [przypis tłumacza]

i jeszcze o wiele śmieszniejszy przesąd co do chłodnego temperamentu blondynek. W istocie, mogłabym się założyć, że, mimo sześćdziesięciu tysięcy renty małej Volanges, nigdy nie przysłoby mu na myśl małżeństwo, gdyby panna była brunetką lub gdyby nie chowała się w klasztorze. Przekonajmy go zatem, że jest tylko głupcem i... czymś więcej: zostałby nim z pewnością prędzej czy później; nie o to się też kłopotę; lecz byłoby zabawne, gdyby już od tego rozpoczął. Jakżebyśmy się przednio¹⁶ bawili nazajutrz, słysząc, jak się chełpi! Bo będzie się chełpił z pewnością; a przy tym, skoro już raz ty się zajmiesz postanowieniem pierwszych kroków tej dziewczyny, trzeba by dziwnego nieszczęścia, aby Gercourt nie stał się z czasem, jak tyłu innych, przedmiotem zabawy¹⁷ całego Paryża.

Zresztą bohaterka tego nowego romansu zasługuje w zupełności na twoje starania: jest naprawdę ładna; ot, dzieciak piętnastoletni, istny pączek róży; nieprawdopodobnie naiwna i bez najmniejszej sztuki: ale was mężczyzn taka rzecz nie odstrasza: ma przy tym w spojrzeniu jakąś tkliwą omdlałość, doprawdy bardzo obiecującą. Dodaj do tego, że ja ją polecam; nie pozostaje ci nic, jak tylko podziękować i posłuchać.

List ten dostanie się do twoich rąk jutro rano. Rozkazuję, abyś jutro, o siódmej wieczór, zjawił się u mnie. Nie przyjmę nikogo przed ósmą, nawet mego *panującego* kawalera: on nie ma dosyć głowy na tak ważne przedsięwzięcie. Widzisz, że miłość

¹⁶ *przednio* (daw.) – znakomicie. [przypis edytorski]

¹⁷ *zabawa* – tu: rozrywka, uciecha, żarty. [przypis edytorski]

mnie nie zaślepia. O ósmej zwrócę ci swobodę, o dziesiątej zaś wrócisz, aby wieczerzać wraz z pięknym przedmiotem twoich zabiegów: matka i córka będą jutro u mnie. Do widzenia; minęło już południe. Niebawem przestanę się tobą zajmować.

Paryż, 4 sierpnia 17**

List III

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Niczego jeszcze się nie dowiedziałem, droga. Wczoraj było u mamy dużo gości. Mimo ciekawości, z jaką przypatrywałam się całemu towarzystwu, zwłaszcza panom, wynudziłam się straszliwie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, przyglądali mi się wytrwale, a potem szeptali sobie do ucha; wiedziałam doskonale, że rozmawiają o mnie: czułam, że się czerwienię, a nie mogłam się powstrzymać. Bardzo zła byłam na siebie, zauważyłam bowiem, że gdy się przyglądano innym kobietom, one się nie czerwieniły. A może to tylko dlatego, że się różują¹⁸, nie widać po nich, gdy są zakłopotane, bo trudno chyba nie zaczerwienić się, kiedy mężczyzna wpatruje się tak natarczywie.

Najwięcej niepokoiło mnie to, że nic nie wiem, co oni sobie wszyscy o mnie myślą. Zdawało mi się jednak, że dosłyszałam parę razy słowo *ładna*, ale na pewno usłyszałam również *niezręczna*; i to z pewnością musi być prawda, gdyż pani, która to

¹⁸ różować się – barwić sobie różem policzki. [przypis edytorski]

mówiła, jest krewną i przyjaciółką matki; zdaje się, że i dla mnie nabrała od razu dużo sympatii. To jedyna osoba, która trochę rozmawiała ze mną w ciągu wieczoru. Jutro mamy być u niej na kolacji.

Słyszałam jeszcze później, jak jakiś pan (jestem pewna, że mówił o mnie), odezwał się do drugiego: „Niechże to jeszcze dojrzeje, zobaczymy tej zimy”. Może to on właśnie ma się ze mną żenić, ale to by znaczyło, że dopiero za cztery miesiące! Chciałabym bardzo wiedzieć, jak jest w istocie.

Przyszła właśnie Józefa, aby zabrać list, mówi, że jej pilno. Ale muszę ci opowiedzieć jeden jeszcze przykład mojej niezręczności. Och! Zdaje mi się, że ta pani ma słuszność!

Po kolacji wszyscy zasiedli do gry. Usadawiłam się tuż koło mamy; nie wiem, jak się stało, ale zasnęłam prawie natychmiast. Obudził mnie głośny wybuch śmiechu. Nie wiem, czy ze mnie się śmiano, ale przypuszczam. Mama pozwoliła mi iść do siebie, czym mi zrobiła wielką przyjemność. Wyobraź sobie, było już po jedenastej! Do widzenia, Zosiu droga, kochaj zawsze mocno swoją Ceśkę. Zaręczam ci, że *świat* nie jest tak zabawny, jak nam się wydawał w marzeniach.

Paryż, 4 sierpnia 17**

List IV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

w Paryżu

Rozkazy twoje, markizo¹⁹, są czarujące; sposób, w jaki je wydajesz, jeszcze bardziej uroczy: przy tobie, pani, byłbym zdolny pokochać despotyzm. Nie pierwszy to raz, jak ci wiadomo, ubolewam, iż nie jestem już twoim niewolnikiem; mimo nazwy *potwora*, jaką mnie obdarzasz, najmilej zawsze wspominam czasy, kiedy zaszczycałaś mnie bardziej słodkimi imionami²⁰. Często nawet marzę o tym, aby zasłużyć je na nowo i aby już do końca dni wytrwać u twoich stóp, pani, dając całemu światu przykład budującej stałości. Ale ważniejsze przeznaczenia wołają nas w tym życiu; losem naszym jest zdobywać; trzeba iść tedy²¹ drogą, jaką nam pisano. Może kiedyś, na schyłku naszego zawodu, spotkamy się jeszcze; niech mi bowiem wolno będzie powiedzieć bez urazy, pani, śliczna markizo, postępujesz co najmniej równym krokiem ze mną, i od czasu jak, rozłączywszy się ku pożytkowi świata, niesiemy naszą ewangelię²² każde na swoją rękę, zdaje mi się, że w tym posłannictwie miłości, ty więcej ode mnie zdobyłaś już wyznawców. Znam twoje poświęcenie, twą płomienną żarliwość; zaprawdę, gdyby to bóstwo miało nas sądzić po dziełach,

¹⁹ *markiza* – żona markiza; *markiz*: tytuł arystokratyczny sytuujący w hierarchii społecznej między hrabią a księciem. [przypis edytorski]

²⁰ *imiony* – dziś N.Im: imionami. [przypis edytorski]

²¹ *tedy* (daw.) – więc. [przypis edytorski]

²² *ewangelia* – dosł. dobra nowina; tu: zestaw zasad a. nauka moralna. [przypis edytorski]

ty byłąbyś kiedyś patronką dużego miasta, podczas gdy twój przyjaciel i sługa zostałyby ledwie pokątnym świętym jakiej mizernej wioseczki. Ten budujący styl musi cię nieco dziwić, markizo, nieprawdaż? Ale od całego tygodnia nie słyszę innego, nie mówię innym; co więcej, aby się w nim doskonalić, zmuszony jestem być ci, pani, nieposłusznym.

Nie gniewaj się, markizo, i wysłuchaj. Tobie, skarbnicze wszystkich tajemnic mego serca, powierzę największy zamiar, jaki kiedykolwiek urodził się w mej głowie. Do czegoż ty mnie, markizo, chcesz użyć? Bym uwiódł młodą dziewczynę, która nic nie widziała, o niczym nie ma pojęcia; która byłaby mi niejako wydana na łup bez żadnej obrony; którą wprowadziłby w upojenie pierwszy hołd spotkany w życiu, a ciekawość poprowadziłaby szybciej jeszcze niż miłość. Dwudziestu mogłoby tutaj dojść do celu nie gorzej ode mnie. Zupełnie inaczej mają się rzeczy w przedsięwzięciu, które mnie zaprzęta: tutaj powodzenie zapewnia mi tyleż chwały, co rozkoszy! Miłość, która gotuje się²³ wieńcem przystroić mą głowę, waha się sama pomiędzy mirtem²⁴ a laurem²⁵ lub raczej połączy oba, aby godnie uczcić zwycięstwo. Ty sama, piękna przyjaciółko, staniesz przejęta świętym podziwem i z zapalem wykrzykniesz: „Oto, zaprawdę,

²³ *gotować się* – tu: przygotowywać się. [przypis edytorski]

²⁴ *mirt* – krzew o wonnych liściach, w judaizmie wykorzystywany jako element świątecznego bukietu. [przypis edytorski]

²⁵ *laur* – wieniec z liści wawrzynu w starożytnej Grecji i Rzymie służący do dekoracji zwycięzców. [przypis edytorski]

mąż wedle serca mego²⁶”.

Znasz, markizo, prezydentową de Tourvel, jej pobożność, jej miłość małżeńską, surowe zasady. Oto forteca, do której szturm przypuszczam: oto godny mnie nieprzyjaciel, oto cel, który pragnę osiągnąć.

A jeśli chlubnej ceny nie sięgnę zwycięstwa,
Zdobędę bodaj zaszczyt daremnego męstwa.

Można cytować liche wiersze, gdy pochodzą spod pióra wielkiego poety²⁷

Dowiedz się zatem, że prezydent bawi w Burgundii²⁸, dokąd udał się dla ważnego procesu (mam nadzieję, że przyprawię go o przegranie jeszcze ważniejszego). Niepocieszona połowica ma zostać tutaj przez cały czas żałosnego wdowieństwa. Codzienna msza, odwiedziny biednych w okolicy, poranna i wieczorna modlitwa, samotne przechadzki, nabożne rozmowy z moją starą ciotką i od czasu do czasu nudna partia wiska²⁹, miały stanowić jedynie jej rozrywki. Tuszę³⁰ sobie, że uda mi się zgotować

²⁶ *Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mego* – nawiązane do *Dziejów apostoelskich* (Dz 13,22): „Znalazłem Dawida, syna Jessego, męża wedle serca mego, który czynić będzie każdą wolę moją” (przekład Jakuba Wujka). [przypis edytorski]

²⁷ *A jeśli chlubnej (...) spod pióra wielkiego poety* – La Fontaine’a. [przypis tłumacza]

²⁸ *Burgundia* – kraina historyczna w środkowej Francji. [przypis edytorski]

²⁹ *wisk* – wist, gra karciana, poprzedniczka brydża. [przypis edytorski]

³⁰ *tuszyć* (daw.) – spodziewać się czegoś, mieć nadzieję; por. *otucha*. [przypis edytorski]

jej inne, nieco bardziej ożywione. Dobry anioł przywiódł mnie tutaj dla jej i mego szczęścia. Szalony! Żałowałem dwudziestu czterech godzin, które musiałem poświęcić względem rodzinnej powinności. Jakżeż czułbym się ukarany, gdyby mnie kto dziś zmusił do powrotu do Paryża! Na szczęście, potrzeba czterech osób, aby móc grać w wiska; że zaś tu znajduje się pod ręką jedynie miejscowy proboszcz, moja nieśmiertelna ciotka nalegała bardzo, abym jej choć kilka dni poświęcił. Zgadujesz, markizo, że nie dałem się prosić. Nie wyobrażasz sobie, jak pocziwina rozpływa się nade mną od tego czasu, a zwłaszcza, jak jest zbudowana tym, iż regularnie zjawiam się na codziennych modłach i na mszy. Ani podejrzewa, jakiemu bóstwu niosę hołdy.

Oto więc od czterech dni pochłania mnie silna namiętność. Znasz mnie; wiesz zatem, czy umiem żywo pragnąć, czy umiem dawać sobie rady z przeszkodami: ale nie wiesz, jak bardzo osamotnienie wzmaga gorączkę pragnienia. Żyję wyłącznie tym jednym: myślę o niej we dnie, śnię w nocy. Muszę mieć tę kobietę, aby się ocalić od śmieszności zakochania: dokąd bowiem nie zdoła zaprowadzić niezaspokojone pragnienie? O słodka sytości! Przyzywam cię dla mego szczęścia, a zwłaszcza spokoju. Jakież to szczęście dla nas, że kobiety tak słabo się bronią! Inaczej byłibyśmy wobec nich stadem kornych³¹ niewolników. W tej chwili ogarnęło mnie uczucie głębokiej wdzięczności dla kobiet łatwych, które to uczucie, najprostszą

³¹ *korny* – pokorny. [przypis edytorski]

drogą, zawiodło mnie do twoich stóp, markizo. Pochylałem się do nich, aby uzyskać przebaczenie i kończę zbyt długi list: do widzenia, urocza przyjaciółko, i bez urazy.

Z zamku ***, 5 sierpnia 17**

List V

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Czy wiesz, wicehrabio, że twój list silnie przekracza dozwolone granice zuchwalstwa i że miałabym wszelkie prawo obrazić się? Dowiódł mi jednak zarazem, iż straciłeś zupełnie głowę, i to jedno ocaliło cię od mego oburzenia. Jako wspaniałomyślna i tkliwa przyjaciółka, zapominam o mojej zniewadze, aby jedynie myśleć o twoim niebezpieczeństwie; i jakkolwiek nudną jest rzeczą przemawianie do rozsądku, i na to się odważę przez wzgląd, iż snadź³² bardzo tego potrzebujesz.

Ty, zdobywający prezydentową Tourvel! Cóż za kaprys pocieszny! Poznają twoją wariacką głowę, która umie pragnąć tylko tego, czego uzyskanie zdaje się niepodobieństwem. I cóż ty widzisz w tej kobiecie? Rysy regularne, jeżeli chcesz, przyznaję, ale bez cienia wyrazu: nieźle zbudowana, ale bez wdzięku, ubrana zawsze wprost śmieszne! Te chusteczki, które opatulają jej piersi, ten biust sięgający aż gdzieś pod brodę! Powiadam ci jako przyjaciółka, wystarczyłoby ci mieć już nie dwie, ale

³² *snadź* (daw.) – zapewne, prawdopodobnie, widocznie. [przypis edytorski]

jedną kobietę tego pokroju, by stracić całą reputację. Przypomnij sobie tylko dzień, w którym ona kwestowała w kościele św. Rocha, kiedy tak dziękowałeś mi, że ci dostarczyłam tego widowiska. Zdaje mi się, że ją widzę jeszcze, jak się prowadzi pod rękę z tą swoją długowłosą tyczką, gotowa przewrócić się przy każdym kroku, jak wiecznie zawadza o czyjaś głowę swoim łokciowym robro³³, rumieni się przy każdym ukłonie! Któż by wówczas powiedział, że tobie się zachce kiedyś tej kobiety? Ech, wicehrabio, ty sam zarumień się ze wstydu i opamiętaj zawczasu. Przyrzekam ci solenną tajemnicę.

A zresztą, zastanów się nad zawodami, jakie cię czekają! Jakiegoż to rywala wypadnie ci zwalczać? Męża! Czy nie upokarza cię już samo zestawienie? Cóż za hańba, jeżeli poniesiesz klęskę! A na odwrót, w razie zwycięstwa, jakże mało zaszczytu! Więcej powiem: nie spodziewaj się żadnej przyjemności. Czyż można zaznać jej ze skromnisiemi? Mówię oczywiście o szczerych: wstrzemięźliwe nawet w samej godzinie upojenia, zawsze dadzą ci jedynie jakieś pół rozkoszy. To zupełne oddanie całej siebie, ten szal zmysłów, w którym rozkosz oczyszcza się własnym bezmiarem, ta najwyższa łaska miłości, to wszystko jest im zupełnie nieznane. Przepowiadam ci; w przypuszczeniu najszcześniejszej możliwości, twoja prezydentowa będzie mniemała, iż wszystko uczyniła dla ciebie, racząc cię tak, jak raczy swego małżonka: w sam na sam

³³ *robron* – suknia o sztywnej spódnicy, z przodu spłaszczonej, z tyłu wydłużonej.
[przypis edytorski]

zaś małżeńskim, chociażby najczulszym, zostaje zawsze dwoje, a nie *jedno*. Tutaj rzecz ma się jeszcze o wiele gorzej: twoja skromnisa jest nabożna i to tą nabożnością kumoszek³⁴, która skazuje kobietę na wieczyste dzieciństwo. Może uda ci się nagiąć tę zaporę, lecz nie pochlebiaj sobie, byś zdołał ją zniweczyć. zwyciężysz może miłość Boga, lecz nie obawę przed diabłem; i skoro, trzymając kochankę w ramionach, uczujesz, iż serce jej bije, będzie ono biło ze strachu, a nie z miłości. Może gdybyś poznał tę kobietę wcześniej, byłbyś może coś z niej zrobił; ale dziś ta lala ma dwadzieścia dwa lata, a już blisko dwa lata, jak wyszła za mąż. Wierzaj mi, wicehrabio, gdy kobieta *zapuści* się do tego stopnia, trzeba ją zdać już losowi; na zawsze zostanie tylko kwoczką.

I dla tego to uroczego przedmiotu odmawiasz mi posłuszeństwa, zakopujesz się żywcem w grobowcu swej ciotki i wyrzekasz się przygody najrozkoszniejszej w świecie i najbardziej stworzonej, aby przysporzyć ci chwały? Cóż za fatalność chce, aby ten Gercourt zawsze miał jakieś pierwszeństwo przed tobą? Słuchaj, mówię bez gniewu: ale w tej chwili skłonna byłabym doprawdy uwierzyć, że nie wart jesteś swojej reputacji, przede wszystkim zaś jestem skłonna odebrać ci moje zaufanie. Nie umiałabym zwierzać swoich tajemnic kochankowi pani de Tourvel.

Dowiedz się zresztą, że mała Volanges zdążyła już zawrócić komuś głowę. Młody Danceny szaleje za nią. Śpiewali kiedyś

³⁴ *kumoszka* – wścibska, gadatliwa kobieta. [przypis edytorski]

razem: w istocie ta gąska śpiewa o wiele lepiej, niżby przystało wychowawcy klasztoru. Mają przechodzić z sobą różne duety i sądzę, że, co do niej, chętnie byłaby gotowa dostroić się do unisona³⁵: ale ten Danceny to dzieciak, który straci cały drogi czas na gruchaniu i do niczego nie dojdzie. Osóbka jest, ze swej strony, dosyć dzika i gdyby nawet coś się stało, będzie to z pewnością o wiele mniej zabawne, niż gdybyś ty się chciał tym zająć: toteż wściekła jestem i z pewnością zrobię scenę kawalerowi, skoro się tu pojawi. Radzę mu, aby był potulny; w tej chwili bowiem nic by mnie nie kosztowało zerwać z nim na dobre. Jestem pewna, że gdyby mi przyszło do głowy teraz go porzucić, byłby w prawdziwej desperacji; a nic mnie tak nie bawi, jak te miłosne rozpaczki; z pewnością nazwałby mnie „przewrotną”. To słowo „przewrotna” zawsze robiło mi przyjemność; jest to po słowie „okrutna” najśłodsza nazwa dla ucha kobiety, a mniej ciężko przychodzi na nią zapracować. Doprawdy, muszę zastanowić się poważnie nad tym zerwaniem. No i sam widzisz, czego stałeś się przyczyną! Niechaj to spadnie na twoje sumienie. Do widzenia. Chciej mnie polecić modłom prezydentowej.

Paryż, 7 sierpnia 17**

³⁵ *unisono* – wykonywanie melodii przez różne głosy lub instrumenty w dźwiękach identycznej wysokości. [przypis edytorski]

List VI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Czyż więc nie ma na świecie kobiety, która by nie nadużywała władzy, jaką zdobędzie? Więc i ty, ty, którą nazywałem tak często najpobłażliwszą przyjaciółką, i ty zrzucasz się z roli i nie wzdrgasz się ranić mnie tak dotkliwie w przedmiocie mych uczuć! Jakimiż to rysami ośmielasz się malować panią de Tourvel!... Któryż mężczyzna życiem by nie przypłacił tego bezprzykładnego zuchwalstwa? Na którąż inną kobietę nie ściągęłoby to przynajmniej bolesnego odwetu? Przez litość, nie wystawiaj mnie na tak ciężkie próby; nie ręczę, czy zdołałbym je przetrzymać. W imię przyjaźni, zaczekaj, aż będę miał tę kobietę, jeżeli chcesz ją zohydzać. Czyż nie wiesz, że jedynie rozkosz ma prawo zdejmować z oczu przepaskę miłości?

Ale co ja mówię? Czyż pani de Tourvel potrzebuje uciekać się do pomocy złudzeń? Nie: aby być godną uwielbienia, wystarczy jej być sobą. Zarzucasz jej, że się źle ubiera; chętnie wierzę: wszelkie ubranie jej szkodzi, wszystko, co ją zakrywa, ujmuje jej wdzięku. Dopiero w swobodnej prostocie domowego stroju staje się naprawdę czarująca. Dzięki straszliwym upałom, jakie nam tutaj dokuczają, prosty szlafroczek ze zwykłego płótna pozwala mi podziwiać jej krągłą i gibką kibić³⁶. Cieniutki

³⁶ *kibić* – część tułowia od ramion do bioder; talia. [przypis edytorski]

muślin³⁷ zaledwie przysłania piersi: spojrzenia moje, przelotne, lecz bystre, zdołały już ogarnąć ich niezrównane kształty. Twarz, powiadasz, nie ma wyrazu. I cóż miałyby wyrażać w chwili, gdy nic nie przemawia do jej serca? Nie, to pewna, nie spotkasz u niej, jak u naszych zalotniś, owego kłamliwego spojrzenia, które czaruje nas niekiedy, a zwodzi zawsze. Ona nie umie podrywać pustki zdawkowych wyrazów za pomocą wyuczonego uśmiechu: jakkolwiek posiada ząbki najładniejsze w świecie, śmieje się tylko z tego, co ją bawi. Ale trzeba też widzieć w czasie najniewinniejszej igraszki, ile w jej twarzy odbija się naiwnej i szczerzej wesołości! Jak, wobec nieszczęśliwego, któremu śpieszy skwapliwie z pomocą, spojrzenie jej zwiastuje czystą radość i dobroć tak pełną współczucia! Trzeba widzieć przede wszystkim, jak przy najmniejszym słowie pochwały lub przymilenia maluje się na jej niebiańskiej twarzy cudowne zakłopotanie bynajmniej niepodrabianej skromności!... Jest skromna i nabożna, stąd wnosisz, iż musi być zimną i bezduszną? Ja myślę zupełnie inaczej. Jakież zdumiewające dary tkliwości trzeba posiadać, aby je przelewać aż na własnego męża i kochać stale przedmiot stale nieobecny? Jakiegoż silniejszego dowodu mogłabyś jeszcze pragnąć? A jednak umiałem postarać się o jeszcze inny.

Pokierowałem wspólną przechadzką w ten sposób, że trzeba nam było wszystkim przebyć dość głęboki rów; pani zaś de Tourvel, jakkolwiek bardzo zręczna, jest jeszcze bardziej

³⁷ *muślin* – przezroczysta, cienka tkanina. [przypis edytorski]

bojaźliwa: pojmujesz, że jako skromnisia lęka się każdego fałszywego kroku! Trzeba się było zatem powierzyć mej pomocy, i oto wcielenie skromności znalazło się w mych objęciach. Nasze przygotowania i przeprawa starej ciotki pobudziły do głośnego śmiechu rozbawioną prezydentową; skoro zaś ją z kolei uniosłem w górę, ramiona nasze, dzięki mej zręcznej niezaradności, oplotły się wzajem. Przycisnąłem ją do piersi i w ciągu tej króciutkiej chwili uczułem, że jej serce bije żywszym tętnem. Powabny rumieniec okraszył twarzyczkę; pełne skromności zakłopotanie przekonało mnie dostatecznie, że serce jej zabiło z miłości, a nie ze strachu. Ciotka popełniła tę samą omyłkę co i ty, markizo, i rzekła: „Przestraszyła się dziecina”; lecz cudowna prostota *dzieciny* nie pozwoliła jej na kłamstwo, toteż odparła naiwnie: „Och, nie, tylko...”. To jedno słowo oświeciło mnie. Od tej chwili słodka nadzieja zajęła miejsce okrutnego niepokoju. Będę miał tę kobietę: odbiorę ją mężowi, który nie jest jej godzien, ośmielę się ją wydrzeć nawet Bogu, którego uwielbia. Cóż za rozkosz być kolejno powodem i zwycięzcą jej wyrzutów! Daleki jestem od myśli niszczenia przesądów, które ją pętają! One to właśnie przysporzą mi szczęścia i chwały zarazem. Niech wierzy w cnotę, lecz niech ją dla mnie poświęci; niech z przerażeniem patrzy na własny upadek, niezdolna zatrzymać się w drodze, i niechaj miotana nieustannymi wyrzutami nie umie zapomnieć o nich, ani ukryć się przed nimi inaczej niż w moich ramionach. Wówczas niechaj mi powie: „Ubóstwiam cię”; zgoda na to; ona jedna

ze wszystkich kobiet będzie godna wymówić to słowo. Będę w istocie Bogiem, którego uwielbiła ponad wszystko.

Bądźmy szczerzy; w stosunkach naszego światka, zarówno chłodnych, jak łatwych, to, co nazywamy szczęściem, wszak jest zaledwie przyjemnością. Mam ci się przyznać, markizo? Byłem pewny, iż serce moje zwiędło już zupełnie; nie znajdując w sobie nic jak tylko zmysły, ubolewałem nad swą przedwczesną zgrzybiałością. Pani de Tourvel wróciła mi czarowne złudzenia młodości. Przy niej nie trzeba mi nawet posiadania, abym się czuł szczęśliwy. Jedyna rzecz, która mnie przeraża, to czas, jaki zajmie cała ta przygoda; nie ważyłbym się bowiem nic zdawać na los przypadku. Na próżno przywodzę sobie na pamięć moje tryumfalne zuchwalstwa; nie mogę się zdecydować na tę drogę. Abym się czuł zupełnie szczęśliwy, ona musi mi się *oddać*; a to nie jest lada jaka sprawa.

Pewien jestem, markizo, że podziwiałabyś moją ostrożność. Nie wymówiłem jeszcze słowa *miłość*; ale już zdołaliśmy dotrzeć do *zaufania i sympatii*. Aby ją okłamywać najmniej, jak można, a zwłaszcza, aby uprzedzić plotki, które mogłyby dojść do jej uszów, sam, niby to obwiniając się, opowiedziałem parę swoich najbardziej głośnych figielków. Uśmiełabyś się, słysząc, z jaką prostodusznością ona prawi mi kazania. Pragnie, powiada, nawrócić mnie. Ani jej w głowie świta, ile ją będzie kosztowała ta próba. Daleką jest od przypuszczenia, że *przemawiając* (to jej styl) *imieniem nieszczęsnych, które ja zgubiłem*, ujmuje się z góry za własną sprawą. Ta myśl nasunęła mi się wczoraj w ciągu jej

kazania: nie mogłem odmówić sobie przyjemności przerwania jej zapewnieniem, iż mówi jak prorok. Do widzenia, urocza przyjaciółko. Widzisz więc, że nie jestem jeszcze zgubiony bez ratunku.

PS Ale, ale, czy biedny kawaler nie odebrał sobie życia z rozpacz? Doprawdy, markizo, ty masz w sobie sto razy więcej szelmstwa ode mnie i gdybym posiadał nieco miłości własnej, czułbym się głęboko upokorzony.

Zamek ***, 9 sierpnia 17**

List VII

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*³⁸

Jeżeli dotąd nie pisałam nic o moim małżeństwie, to dlatego, że ani na jotę³⁹ więcej nie wiem niżli pierwszego dnia. Przyzwyczajam się nie myśleć o tym i czuję się wcale dobrze. Pracuję dużo nad śpiewem i harfą; mam uczucie, że bardziej je polubiłam od czasu, jak nie mam już nauczyciela, lub raczej odkąd dostałam o wiele lepszego i miłszego. Kawaler Danceny, ten pan, o którym ci mówiłam, że śpiewałam z nim u pani de

³⁸ *Cecylia Volanges do Zofii Carnay* – aby nie nadużywać cierpliwości czytelnika, autor pomija wiele listów w tej codziennej korespondencji; podaje jedynie te, które wydały mu się potrzebne do zrozumienia biegu wypadków. Z tego samego powodu pomija również wszystkie listy Zofii Carnay i wiele listów innych osób biorących udział w tych wydarzeniach. [przypis tłumacza]

³⁹ *ani na jotę* – wcale, ani trochę. [przypis edytorski]

Merteuil, jest tak uprzejmy, że przychodzi do nas codziennie i śpiewa ze mną całymi godzinami. Bardzo jest miły. Śpiewa jak anioł i układa prześliczne melodie, do których sam pisze słowa. Wielka szkoda, że on jest kawalerem maltańskim⁴⁰! Myślę, że gdyby się ożenił, żona jego byłaby bardzo szczęśliwa... Ma w sobie jakąś czarującą słodycz. Nigdy nie ma się wrażenia, aby prawił komplementy, a mimo to wszystko, co mówi, gładzi po sercu tak mile. Ciągłe mnie za coś łaje, za muzykę, jak i za inne rzeczy: ale umie włożyć w każdą naganę tyle przymilenia i humoru, że niepodobna go nie polubić. Wystarczy, żeby na ciebie popatrzył, a już masz wrażenie, że chce ci powiedzieć coś bardzo przyjemnego. A przy tym jest ogromnie grzeczny. Na przykład wczoraj: był proszony na jakiś wielki koncert, a przecież wołał zostać cały wieczór u mamy. Bardzo się ucieszyłam, bo kiedy jego nie ma, nikt się do mnie nie odzywa i nudzę się: kiedy on jest, cały czas śpiewamy i rozmawiamy z sobą. Zawsze ma mi coś do powiedzenia. On i pani de Merteuil to jedyne dwie sympatyczne osoby. Ale teraz, bądź zdrowa, droga; przyrzekłam, że wyuczę się na dziś aryjki z bardzo trudnym akompaniamentem, a nie chciałabym nie dotrzymać. Posiedzę nad tym, dopóki on nie przyjdzie.

7 sierpnia 17**

⁴⁰ *kawaler maltański* – członek Suwerennego Rycerskiego Zakonu Szpitalników Św. Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty, zwanego potocznie kawalerami maltańskimi lub joannitami. [przypis edytorski]

List VIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Trudno mi wyrazić pani, jak bardzo jestem wdzięczna za dowód ufności, którym mnie zaszczytasz, i jak żywo mnie obchodzi zameście⁴¹ panny de Volanges. Z całej duszy, z całego serca życzę jej szczęścia, którego jest godna. Nie znam hrabiego de Gercourt; ale, skoro na niego padł tak zaszczytny wybór, mogę mieć o nim jedynie najlepsze wyobrażenie. Poprzestaję, pani, na życzeniu, aby to małżeństwo uwieńczone było równie pomyślnym skutkiem jak moje, które również jest twoim dziełem i za które każdy dzień pomnaża mą wdzięczność. Oby szczęście twej córki, pani, stało się nagrodą za to, które ja otrzymałam z twej ręki; oby najlepsza z przyjaciółek mogła być i najszczęśliwszą z matek!

Szczerze zmartwiona jestem, że nie mogę osobiście złożyć ci, pani, tych życzeń, a zarazem, czego bym bardzo pragnęła, zapoznać się z panną de Volanges. Doznawszy od ciebie tyle prawdziwie macierzyńskiej dobroci, mam prawo spodziewać się, że znajdę u niej tkliwą przyjaźń siostry, na którą będę się starała zasłużyć.

Przypuszczam, iż zostanę na wsi przez cały czas nieobecności pana de Tourvel. Skorzystałam z tego czasu, aby się nacieszyć

⁴¹ zameście – dziś popr.: zamażpójście [przypis edytorski]

towarzystwem czcigodnej pani de Rosemonde. Czarująca to zawsze osoba: sędziwy wiek nie odebrał jej nic z dawnego uroku: zachowała całą wesołość i żywość umysłu. Ciało jej jedynie liczy osiemdziesiąt cztery lata; duch nie więcej niż dwadzieścia.

Samotność naszą ożywiło nieco przybycie siostrzeńca pani de Rosemonde, wicehrabiego de Valmont, który ma zamiar pozostać tu kilka dni. Znałam go jedynie z rozgłosu, który niezbyt zachęcał do bliższego poznania; zdaje mi się jednak, że pan de Valmont więcej jest wart od swej reputacji. Tutaj, gdzie wir światowych uciech nie wiedzie go na pokuszenie, bardzo trzeźwo patrzy na siebie i z rzadką prostotą przyznaje się do błędów. Rozmawia ze mną nieraz nader rozsądnie, a ja roztrząsam mu sumienie i to bardzo surowo. Pani, która go znasz, przyznasz łatwo, iż nawrócenie takiego człowieka byłoby pięknym dziełem: nie wątpię jednak, że mimo wszystkich obietnic poprawy tydzień pobytu w Paryżu wystarczy, aby zapomniał o moich kazaniach. Przynajmniej ten czas, który tu spędzi, będzie stanowił przerwę w jego zwykłym trybie życia, co wyjdzie tylko na korzyść, jeżeli nie jemu, to innym. Pan de Valmont wie, że piszę w tej chwili do pani, i prosi, abym jej przedłożyła wyrazy najgłębszego szacunku. Chciej przyjąć również i moje, z ową dobrocią, która ci jest właściwa, i racz nie wątpić nigdy o najszczerzych uczuciach, z jakimi mam zaszczyt etc.⁴²

⁴² etc. – skrót od *et caetera* (łac.): dosł. i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

List IX

Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel

Nie wątpiłam nigdy, młoda i piękna przyjaciółko, ani o twej przyjaźni, ani o szczerym udziale we wszystkim, co mnie dotyczy. Nie po to też, aby poruszać tę materię, która, sądę, na zawsze jest ustalona, odpowiadam jeszcze na twą *Odpowiedź*; ale nie mogę pominąć sposobności pomówienia z tobą kilku słów odnośnie wicehrabiego de Valmont.

Wyznaję, iż nie przypuszczałam, abym się miała spotkać kiedykolwiek z tym imieniem w twoich listach. Zaprawdę, cóż może istnieć wspólnego pomiędzy nim a tobą? Nie znasz tego człowieka; i skąd mogłabyś mieć pojęcie o wizerunku duszy rozpustnika? Mówisz mi o jego *rzadkiej prostocie*: och! tak; prostota pana de Valmont musi być w istocie dość rzadka. W jeszcze wyższym stopniu fałszywy i niebezpieczny niżeli gładki i pełen powabu, nigdy, od najwcześniejszej młodości, nie uczynił jednego kroku, nie powiedział jednego słowa bez jakiegoś zamiaru, nigdy zaś nie powziął zamiaru, który by nie był nieuczciwym lub zbrodniczym. Znasz mnie, droga przyjaciółko; wiesz, że ze wszystkich cnót, jakie staram się sobie przyswoić, najwyżej cenię pobłażliwość. Toteż, gdyby Valmont działał uniesiony porywem namiętności, gdyby, jak

tylu innych, dał się pociągnąć błędom swego wieku, wówczas potępiając uczynki, zachowałabym współczucie dla jego osoby i czekałabym w milczeniu, czy nie przyjdzie czas, w którym szczęśliwe opamiętanie wróci mu szacunek uczciwych ludzi. Ale w Valmoncie nie ma tego wszystkiego: postępowanie jego jest wynikiem zasad. Umie on doskonale obliczyć, na ile bezceństwa może pozwolić sobie mężczyzna, nie gubiąc się w oczach świata; toteż aby bezkarnie dać folgę swej złości i okrucieństwu, obrał sobie kobiety na ofiary. Nie próbuję nawet policzyć tych, które uwiódł: ale ile zgubił po prostu?

Przy cichym i bogobojnym życiu, jakie prowadzisz, nie docierają do ciebie wieści o owych gorszących przygodach. Mogłabym opowiedzieć niejedną, która by ci zadrzeć kazała ze zgrozy; ale spojrzenia twoje, czyste jak twoja dusza, zbrukałyby się od takich obrazów; spokojna, że Valmont nigdy nie będzie niebezpiecznym dla ciebie, nie potrzebujesz takiego pancerza, aby się obronić. To jeszcze mogę ci powiedzieć, że ze wszystkich kobiet, które miały nieszczęście stać się celem jego zabiegów, uwieńczonych powodzeniem czy nie, każdej przyszło gorzko opłakiwać tę niebezpieczną znajomość. Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek w ogólnym prawidło: ona jedna umiała mu się oprzeć, a zarazem nałożyć hamulec jego niegodziwości. Wyznaję, że ten rys życia najwięcej jej przynosi zaszczytu w mych oczach; to jedno wystarczyłoby już, aby w oczach świata w całej pełni okupić parę lekkomyślności, jakie miano jej do

zarzucenia w początkach wdowieństwa⁴³.

Jak bądź się rzeczy mają, moja urocza przyjaciółko, z prawa wieku, doświadczenia, a przede wszystkim przyjaźni, na jedno muszę ci zwrócić uwagę; mianowicie, że w Paryżu zdołano już zauważyć nieobecność Valmonta. Jeżeli się rozgłosi, iż spędził czas w wyłącznym towarzystwie ciotki i twoim, twoja dobra sława znajdzie się w jego rękach: największe nieszczęście, jakie może się zdarzyć kobiecie. Radzę ci więc, uproś ciotkę, aby nie zatrzymywała go dłużej: gdyby się opierał, sądzę, iż powinnaś bez wahania ustąpić mu miejsca. Ale czemuż miałby tam siedzieć? Po co mu się zakopywać na wsi? Gdybyś kazała śledzić jego kroki, odkryłabyś z pewnością, że dom ciotki obrał jedynie jako wygodne schronienie dla jakiejś miłostki w okolicy. Ale gdy nie w naszej mocy zapobiec złemu, poprzestańmy na tym, aby ubezpieczyć bodaj samych siebie.

Do widzenia, droga przyjaciółko; małżeństwo córki opóźnia się nieco. Hrabia de Gercourt, którego oczekiwaliśmy z dnia na dzień, donosi, że pułk jego wysłano na Korsykę⁴⁴; że zaś trwają tam jeszcze rozruchy wojenne, niepodobieństwem mu będzie uwolnić się przed zimą. Bardzo mi to nie w smak; ale w zamian pocieszam się nadzieją, że będziemy miały przyjemność ujrzenia cię na uroczystościach weselnych; przykro mi było, iż miały

⁴³ *Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek (...)* – błąd, w jakim pozostaje pani de Volanges, świadczy nam, że podobnie jak inni zbrodniarze Valmont umiał nie wydawać swoich współników. [przypis tłumacza]

⁴⁴ *Korsyka* – wyspa na Morzu Śródziemnym, od 1768 w granicach Francji. [przypis edytorski]

się odbyć bez ciebie. Do widzenia; masz we mnie, bez czczych zapewnień, zawsze oddaną przyjaciółkę.

PS Chciej mnie przypomnieć pamięci pani de Rosemonde, którą kocham tak, jak na to zasługuje.

Paryż, 11 sierpnia 17**

List X

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Czy dąsas się na mnie wicehrabio? Czy może zmarłeś? Albo też, co niemal na jedno wychodzi, żyjesz jedynie dla swej prezydentowej? Ta kobieta, która ci wróciła *złudzenia młodości*, wróci ci wkrótce również i śmieszne jej uprzedzenia. Oto już czujesz się nieśmiałym niewolnikiem; lepiej przyznaj od razu, iż jesteś po prostu zakochany. Wahasz się uciec do *szczęśliwego zuchwalstwa*. W ten sposób właśnie postępujesz sobie zupełnie bez zasad, zdając wszystko na los przypadku, a raczej kaprysu. Czyżbyś już nie pamiętał, że miłość jest jak medycyna *jedynie sztuką pomagania przyrodzie*? Widzisz, że cię pobijam własną bronią; nie wzrastam zbyt w pychę z tej przyczyny, boć to najłatwiejszy sposób pobicia mężczyzny na głowę. *Musi ci się oddać*, powiadasz: no, dobrze, musi, to pewna, toteż odda się jak inne, z tą różnicą, że robi to niezgrabnie i bez wdzięku. Ale, żeby skończyła na *oddaniu*, najlepszy sposób jest zacząć od *wzięcia*. Jakimż prawdziwym dzieciństwem miłości

jest to śmieszne odróżnienie! Mówię *miłości*, bo ty jesteś zakochany, wicehrabio. Mówić inaczej, znaczyłoby oszukiwać cię, znaczyłoby ukrywać przed tobą twą chorobę. Powiedz mi więc, omdlewający kochanku: te kobiety, które w życiu miałeś, czy ty myślisz w istocie, że je zgwałciłeś? Ależ choćby która z nas i największą miała ochotę oddać się komu, choćby nam nawet nie wiem jak było do tego pilno, i tak przecież trzeba jakiegoś pozoru; a czyż może istnieć wygodniejszy niż ten, który pozwala odgrywać rolę słabej istoty ulegającej sile? Co do mnie, przyznam się, iż w kampanii miłosnej najwyżej cenię żywy i dobrze przeprowadzony atak, w którym wszystko postępuje po sobie w porządku, jakkolwiek z szybkością; który nie zostawia nas nigdy w tym kłopotliwym położeniu, abyśmy same musiały naprawiać niezręczność nieprzyjaciela; atak, który pozwala zachować pozory poddania się przemocy w tym nawet, na co same się godzimy, i zręcznie gładka dwie nasze uprzywilejowane słabostki: chwałę obrony i przyjemność porażki. Wyznaję, ten talent, rzadszy o wiele, niżby można mniemać, zawsze zyskiwał moje uznanie i nieraz zdarzyło mi się ulec, jedynie aby uwieńczyć męstwo zasłużoną nagrodą.

Ale ty, ty, który nie jesteś już sobą, ty postępujesz już tak, jakbyś obawiał się zwycięstwa. Ech! Odkądże ty podróżujesz w ten sposób, popasając co chwilę, bocznymi drózkami? Mój przyjacielu, gdy chcesz dojechać do kresu, bierz konie pocztowe i jazda! Gościńcem! Ale zostawmy ten przedmiot, który drażni mnie tym więcej, że pozbawia mnie przyjemności ujrzenia cię

rychło. Przynajmniej pisuj częściej i donoś o wszystkim w miarę postępów. Czy wiesz, że już przeszło dwa tygodnie pochlania cię ta śmieszna miłośćka i że zdołałeś przez ten czas zaniedbać wszystkie inne obowiązki?

Ale, ale, gdy mowa o zaniedbaniu: przypominasz mi, wicehrabio, ludzi, którzy zasięgają regularnie wiadomości o chorych przyjaciółach, lecz nigdy nie są ciekawi odpowiedzi. Kończysz ostatni list zapytaniem, czy kawaler nie rozstał się ze światem. Ja nie odpowiadam, a ty przestajesz się o to troszczyć. Czyż zapomniałeś, że mój kochanek jest, już z urzędu, twoim najserdeczniejszym przyjacielem? Ale uspokój się: nie umarł; lub gdyby mu się to miało przytrafić, to chyba z nadmiaru szczęścia. Biedaczek mój, jakież on tkliwy! Cóż to za urodzony kochanek! Jak on umie żywo czuć i wyrażać uczucia! W głowie mi się kręci na samo wspomnienie. Doprawdy, nieopisane szczęście, jakie on znajduje w przekonaniu o mej miłości, gotowe mnie jeszcze do niego przywiązać.

Tego samego dnia, w którym, jak ci pisałam, obudziła się we mnie chętka zerwania z kawalerem, ileż szczęścia czekało go jeszcze! A przecież w chwili, gdy mi go oznajmiono, rozmyślałam zupełnie poważnie nad środkami doprowadzenia go do rozpacz. Nie wiem, kaprys czy inna przyczyna, ale nigdy nie wydał mi się tak pełnym powabu. Mimo to, przyjąłem go kwaśno. Liczył, że spędzi ze mną jakie dwie godziny, zanim drzwi otworzą się dla wszystkich. Powiedziałam, że wychodzę; zapytał dokąd: odmówiłam odpowiedzi. Zaczął

nalegać; *tam, gdzie pana nie będzie*, odparłam opryskliwie. Szczęściem dla siebie, stanął jak skamieniały po tej replice; to pewna, gdyby był wyrzekł jedno słowo, wybuchłaby niechybnie scena i skończyłoby się zerwaniem. Zdziwiona tym milczeniem, zwróciłam na niego oczy bez innego zamiaru, przysięgam, wicehrabio, jak tylko, aby zobaczyć jego minę. Spostrzegłam na tej prześlicznej twarzy ten smutek zarazem głęboki a tkliwy, któremu, sam przyznałeś, trudno w istocie się oprzeć. Ta sama przyczyna wywołała ten sam skutek: uczułam się zwyciężoną po raz drugi. Od tej chwili poczęłam jedynie myśleć nad sposobem oczyszczenia się w jego oczach z wszelkiej winy. „Wychodzę w pewnej sprawie – rzekłam nieco łagodniej – w sprawie dotyczącej nawet i pana; ale nie pytaj o nic. Będę wieczerzać w domu, przyjdź, a dowiesz się wszystkiego”. Wtedy dopiero odzyskał mowę, ale nie pozwoliłam mu mówić. „Śpieszę się bardzo – rzekłam. – Zostaw mnie; do zobaczenia”. Pocałował mnie w rękę i wyszedł.

Aby mu powetować to rozstanie, może aby powetować je samej sobie, wpadam na myśl zapoznania go z moim domkiem, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Dzwonię na wierną Wiktorię. Dostaję migreny⁴⁵, każe oznajmić wszystkim, że kładę się do łóżka; zostawszy wreszcie sama z moją powiernicą⁴⁶,

⁴⁵ *migrena* – powtarzający się, najczęściej jednostronny, pulsujący, silny ból głowy. [przypis edytorski]

⁴⁶ *powiernica* – osoba obdarzana zaufaniem, której powierza się tajemnice. [przypis edytorski]

stroję się za pannę służącą, podczas gdy ona przebiera się za lokaja. Następnie Wiktorja sprowadza dorożkę do bramy ogrodowej i pomykamy w drogę. Przybywszy do świątyni miłości, wyszukuję negliżyk najpowabniejszy, jaki posiadamy, po prostu rozkoszny: najzupełniej własnego pomysłu: nie pozwala nic oglądać, a wszystkiego każe się domyślać. Przyrzekam ci przesłać wzór dla prezydentowej, skoro ją już uczynisz godną takiego ryszunku.

Po tych przygotowaniach, podczas gdy Wiktorja zajmuje się resztą, odczytuję jeden rozdział *Sofy*⁴⁷, jeden list Heloizy⁴⁸ i dwie powiastki La Fontaine'a⁴⁹, aby dostroić rozmaite struny, jakie zamierzam potrącić. Tymczasem kawaler zjawia się u mnie, jak zawsze niecierpliwym. Szwajcar⁵⁰ odprawia go, oznajmiając, iż jestem niezdrowa: pierwsza niespodzianka. Równocześnie oddaje bilecik ode mnie, ale nie przeze mnie pisany, zgodnie z mą roztropną zasadą. Kawaler otwiera i widzi, ręką Wiktorii: „Punkt o dziewiątej, na bulwarze, naprzeciw kawiarni”. Udaje się na wskazane miejsce; tam lokajczyk, którego rolę odgrywa wciąż też sama Wiktorja, każe mu odprawić powóz i podążyć za sobą. Cały ów romantyczny aparat miał ten skutek, iż rozpałił głowę

⁴⁷ *Sofa* – romans Crébillona syna, treści niezmiernie swobodnej. [przypis tłumacza]

⁴⁸ *Nowa Heloiza* – powieść w listach z 1761, autorstwa Jeana Jacques'a Rousseau, opisująca nieszczęśliwą miłość skromnego nauczyciela i jego arystokratycznej uczennicy, zaliczana do nurtu sentymentalizmu. [przypis edytorski]

⁴⁹ *Jean de La Fontaine* (1621-1695) – jeden z czołowych pisarzy klasycyzmu francuskiego, autor około 250 bajek. [przypis edytorski]

⁵⁰ *szwajcar* – portier; odźwierny. [przypis edytorski]

mego kawalera, rozpalona zaś głowa ma zawsze swoje zalety. Przybywa wreszcie oszołomiony zdumieniem i miłością. Aby mu pozwolić przyjść nieco do siebie, przeprowadzam go przez chwilę po ogrodzie, następnie zaś kieruję ku domowi. Widzi stolik i dwa nakrycia; następnie posłane łóżko. Przechodzimy do przystrojonego odświętnie buduaru⁵¹. Tam, na wpół z rozmysłu, na wpół ze szczerego serca, otoczyłam go ramionami i osunęłam mu się do kolan. „O mój najdroższy – rzekłam – aby ci zgotować niespodziankę tej chwili, popełniłam tę zbrodnię, iż udanym gniewem przyprawiłam cię o zmartwienie i na chwilę pozbawiłam twe źrenice widoku ukochanej. Przebacz mi winy, a okupię je potęgą miłości”. Możesz sobie wyobrazić skutek tej sentymentalnej przemowy. Kawaler, uszczęśliwiony, podniósł mnie co żywo i rozgrzeszenie moje zostało przypięczone na tej samej otomance⁵², na której ty i ja pieczętowaliśmy tak wesoło i w ten sam sposób wieczyste zerwanie.

Ponieważ mieliśmy przed sobą całe sześć godzin, a postanowiłam sobie, iż czas ten upłynie mu w sposób niezmaczenie rozkoszny, powściągnęłam tedy jego uniesienia. Powabna zalotność zajęła miejsce gorętszej czułości. Nigdy jeszcze nie dołożyłam tylu starań, aby się komuś podobać, nigdy też nie byłam równie zadowolona z siebie. Po kolacji, na przemian dziecinna i pełna rozsądku, swawolna i tkliwa,

⁵¹ *buduar* – pokój pani domu przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

⁵² *otomana* – rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

niekiedy nawet nieco wyuzdana, starałam się obchodzić z lubym niby z sułtanem zasiadającym pośród swego seraju⁵³, w którym ja grałam kolejno rolę rozmaitych faworytek⁵⁴. W istocie jego wielokrotne hołdy, jakkolwiek wciąż przyjmowała je ta sama kobieta, skłaniały się do stóp coraz to nowej kochanki.

Wreszcie o brzasku trzeba się było rozłączyć; co bądź kawaler powiadał, czynił nawet, aby temu przeczyć, rozstanie to było dlań równie potrzebne jak bolesne. Gdy nadeszła chwila ostatniego pożegnania, wzięłam klucz błogosławionego ustronia⁵⁵ i wręczając mu go, rzekłam: „Zgotowałam je tylko dla ciebie, słusznym jest, abyś był jego panem: rzeczą Ofiarnika⁵⁶ jest rozporządzać Świątynią”. W ten sposób zręcznie uprzedziłam podejrzenia, jakie mogłoby mu nasunąć to zagadkowe nieco posiadanie ustronnego domku. Znam kawalera i nie lękam się, by mi do sanktuarium wprowadził inną kobietę; gdyby mnie zaś przyszła fantazja zagościć tam bez niego, zostaje mi zawsze drugi klucz w odwodzie. Chciał za wszelką cenę umówić dzień następnej schadzki; ale za wiele mi wart jeszcze mój kawaler, abym go chciała zużywać tak szybko. Można sobie pozwolić na takie wybryki jedynie z kimś, kogo się ma zamiar niebawem porzucić. On tego nie wie, biedaczek, na szczęście ja

⁵³ *seraj* – pałac władcy w krajach muzułmańskich; seraj w Istambule był siedzibą sułtanów tureckich. [przypis edytorski]

⁵⁴ *faworyta* – kochanka osoby wysoko postawionej. [przypis edytorski]

⁵⁵ *ustronie* – miejsce położone na uboczu, z dala od ludzkich siedzib. [przypis edytorski]

⁵⁶ *ofiarnik* – daw. kapłan składający ofiarę. [przypis edytorski]

wiem za nas oboje.

Widzę, że już trzecia rano i że napisałam cały tom, usiadłszy z zamiarem skreślenia paru słówek. Oto co może czar przyjacielskiej ufności: ona też sprawia, że ty mi jesteś zawsze najdroższym ze wszystkich; ale jeśli mam wyznać prawdę, miłszym jest mi dzisiaj mój kawaler.

12 sierpnia 17**

List XI

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Surowy twój list, szanowna przyjaciółko, przeraziłby mnie z pewnością, gdybym, na szczęście, nie znajdowała tutaj więcej rękojmi⁵⁷ bezpieczeństwa, niż ty mi kreślisz, pani, przyczyn do obawy. Ów groźny pan de Valmont, który ma być postrachem kobiet, odłożył, zdaje się, swe mordercze bronie, zanim przestąpił mury tego zamku. Daleki od snucia jakich bądź zamysłów, wyzbył się niemal wszelkiej kokieterii⁵⁸; talenty uroczego światowca⁵⁹, które przyznają mu nawet nieprzyjaciele, znikły prawie w zupełności, aby zostawić

⁵⁷ *rękojmia* – poręczenie, zagwarantowanie czegoś, zapewnienie o czymś. [przypis edytorski]

⁵⁸ *kokieteria* – zachowanie osoby starającej się wzbudzić zainteresowanie, zjednać sobie kogoś. [przypis edytorski]

⁵⁹ *światowiec* – człowiek obyty, potrafiący zachować w każdej sytuacji, obracający się w wyższych kręgach. [przypis edytorski]

jedynie przymioty dobrego i sympatycznego chłopca. Widocznie wiejskie powietrze jest przyczyną tego cudu. O jednym mogę panią upewnić, mianowicie iż mimo że pan de Valmont przebywa bezustannie w moim towarzystwie i nawet zdaje się w nim podobać, nie wymknęło mu się dotąd ani jedno słowo, które by bodaj trochę trąciło oświadczynami, ani jedna z owych aluzji, na jakie pozwalają sobie wszyscy mężczyźni, nie mając nawet jak on warunków na ich usprawiedliwienie. Nigdy nie zmusza mnie do tej baczności, jaką musi dzisiaj rozwijać każda szanująca się kobieta, aby powstrzymać zapędy otaczających mężczyzn. Umie nie nadużywać wesołości, którą promieniuje dokoła. Lubi może trochę nadto chwalić, ale czyni to w sposób tak delikatny, że zdołałby Skromność samą oswoić z pochlebstwem. Słowem, gdybym miała brata, pragnęłabym, aby był taki, jakim pan de Valmont się tutaj przedstawia. Może wiele kobiet życzyłoby sobie wyraźniejszego nadskakiwania z jego strony; co do mnie, wyznaję, wdzięczna mu jestem, iż umiał ocenić mnie dość dobrze na to, by mnie nie stawiać w ich liczbie.

Ten obraz pana de Valmont różni się bez wątpienia bardzo od wizerunku, który ty mi, pani, nakreśliłaś; mimo to oba mogą być wierne, zależnie od czasu. On sam przyznaje, iż popełnił wiele błędów; może i świat dorzucił niejedno na jego rachunek. Ale niewielu mężczyzn zdarzyło mi się spotkać, którzy by mówili o uczciwych kobietach z większym szacunkiem, powiedziałabym, prawie uwielbieniem. Z listu pani wnoszę, że przynajmniej ta jego cnota nie jest obłudą. Sposób, w jaki

odnosi się do pani de Merteuil, jest tego dowodem. Często mówi o niej; a zawsze z takimi pochwałami i z akcentem tak szczerego przywiązania, iż mniemałam, aż do otrzymania pani listu, że to, co on nazywa przyjaźnią między nimi, jest, w gruncie, miłością. Wyrzucam sobie obecnie sąd tak niebaczny, w którym ponoszę tym większą winę, ile że pan de Valmont sam niejednokrotnie dokładał starań, aby uchronić tę złą osobę od takich podejrzeń. Wyznaję, iż uważałam jedynie za dyskrecję to, co było z jego strony uczciwą szczerością. Nie wiem, ale wydaje mi się, że ktoś, kto jest zdolny do równie stałej przyjaźni dla kobiety tak godnej szacunku, nie może być beznadziejnym lekkomyślnikiem⁶⁰. Poza tym nie wiem, czy owo stateczne prowadzenie się, jakiego tu daje dowody, zawdzięczamy jakiejś miłostce w okolicy, jak pani przypuszcza. Jest wprawdzie parę powabnych kobiet w sąsiedztwie; ale pan de Valmont wychodzi z domu w ogóle mało, wyjąwszy rano: mówi, że idzie polować. To prawda, rzadko z sobą przynosi zwierzynę; ale zapewnia, iż bardzo zeń niezręczny myśliwy. Zresztą, niezbyt się troszcę, co on może robić poza domem; jeżeli pragnęłabym wiedzieć, to jedynie, aby mieć jedną przyczynę więcej przychylenia się do zdania pani lub też przekonania cię o słuszności mego.

Co się tyczy rady twojej, droga przyjaciółko, abym postarała się o skrócenie pobytu pana de Valmont, wyznaję, że nie wiem, czy ośmieliłabym się prosić jego ciotkę, aby odmówiła gościny siostrzeńcowi, zwłaszcza że jest do niego bardzo przywiązana.

⁶⁰ *lekkomyślnik* (neol.) – lekkoduch; osoba lekkomyślna. [przypis edytorski]

Przyrzekam jednak – jedynie, by iść za twą radą, a nie z istotnej potrzeby – że chwycę się jakiejś sposobności i spróbuję przedłożyć tę prośbę albo jej, albo wprost jemu. Co się mnie tyczy, pan de Tourvel wie, iż miałam zamiar zostać tutaj aż do jego powrotu, i zdziwiłby się, nie bez słuszności, gdybym tak lekko odmieniła postanowienie.

Rozpisałam się może zbyt długo, ale zdawało mi się, że winna jestem prawdzie owo pochlebne świadectwo dla pana de Valmont, świadectwo, którego w twoich oczach, pani, zdawał się bardzo potrzebować. Niemniej szczerze wdzięczną jestem za przyjaźń, która podyktowała ci twoje przestrogi. Jej również zawdzięczam wszystkie miłe słowa, jakimi mnie obdarzasz z okazji opóźnienia małżeństwa córki. Dziękuję serdecznie za zaproszenie; ale mimo całej przyjemności, jaką sobie obiecuję po chwilach spędzonych w pani towarzystwie, poświęciłabym je chętnie, gdyby przez to panna de Volanges prędzej mogła stać się szczęśliwą, o ile w ogóle kiedy może być nią bardziej niż teraz, przy boku matki, tak godnej całej jej czułości i szacunku. Podzielałam z nią oba te uczucia i proszę, abyś raczyła to zapewnienie przyjąć ze zwykłą dobrocią.

Mam zaszczyt etc.

13 sierpnia 17**

List XII

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Donoszę pani, że mama jest cierpiąca; nie wychodzi dzisiaj i muszę dotrzymywać jej towarzystwa: nie będę miała zatem zaszczytu towarzyszyć pani do Opery. Zapewniam panią, o wiele bardziej żałuję, że nie będę razem z panią, niż całego widowiska. Mam nadzieję, że pani nie wątpi o tym; bardzo o to proszę. Ja panią tak kocham! Czy będzie pani tak dobra powiedzieć panu kawalerowi Danceny, że nie mam zbiorku, o którym mówił, i że jeżeli może go przynieść jutro, sprawi mi wielką przyjemność? Gdyby przyszedł dziś, powiedziano by mu, że nas nie ma w domu: mama nie chce nikogo dziś przyjmować. Mam nadzieję, że jutro będzie jej już lepiej.

Mam zaszczyt, etc.

13 sierpnia 17**

List XIII

Markiza de Merteuil do Cecylii Volanges

Bardzo jestem zmartwiona, ślicznotko, że nam się tak nie składa, ale mam nadzieję, że stracona sposobność jeszcze się powtórzy. Wywiążę się z twego zlecenia wobec kawalera Danceny, który z pewnością bardzo się trapi wiadomością, że

mama chora. Jeżeli pani de Volanges zechce mnie przyjąć jutro, przyjdę dotrzymywać jej towarzystwa. Wyzwiemy we dwie kawalera de Belleruche⁶¹ do walki w pikietę⁶², a ogrywając go, będziemy miały dla dopełnienia przyjemności satysfakcję przysłuchiwania się, jak śpiewasz ze swym miłym nauczycielem. Jeżeli to dogadza matce i tobie, ręczę za siebie i za moich kawalerów. Do widzenia, moja śliczna; pozdrowienia drogiej pani de Volanges. Ściskam was z całego serca.

13 sierpnia 17**

List XIV

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Nie pisałam wczoraj, droga Zosiu, ale nie nadmiar przyjemności jest tego przyczyną, możesz mi wierzyć. Mama była chora, nie opuściłam jej cały dzień ani na chwilę. Wieczorem, kiedy znalazłam się w swoim pokoju, nie miałam głowy do niczego; czym prędzej położyłam się do łóżka, aby się upewnić, że dzień się już skończył: jeszcze mi się nigdy nie wydał równie długi. To nie znaczy, abym nie kochała mamy, ale nie wiem, co to takiego. Miałam iść do Opery z panią de Merteuil; kawaler Danceny z nami. Wiesz dobrze, że to są dwie

⁶¹ *kawaler de Belleruche* – ten sam [kawaler], o którym mowa w listach pani de Merteuil. [przypis tłumacza]

⁶² *pikieta* – gra karciana, pochodząca z Francji, znana od XIV w. [przypis edytorski]

osoby, które lubię najwięcej w świecie. Skoro nadeszła godzina, o której się zaczyna przedstawienie, serce mi się ścisnęło mimo woli. Wszystko mi zbrzydło nagle; płakałam, płakałam tak, że nie mogłam się powstrzymać. Na szczęście, mama leżała w łóżku i nie mogła widzieć. Jestem pewna, że kawaler Danceny był także bardzo zmartwiony; ale on miał przynajmniej na pociechę widowisko i ludzi: to całkiem co innego.

Na szczęście mama dziś ma się lepiej i pani de Merteuil przyjdzie z kawalerem Danceny i innym jakimś panem; ale pani de Merteuil przychodzi zawsze bardzo późno, a jak się jest tak długo samej, to strasznie nudno. Dopiero jedenasta. Prawda, że muszę pograć trochę na harfie; przy tym toaleta także zajmie nieco czasu, bo chciałabym być dzisiaj dobrze uczesana. Zdaje się, matka Annuncjata miała słuszność: kiedy człowiek zaczyna żyć w świecie, robi się zalotny. Od kilku dni strasznie chciałabym ładnie wyglądać, a ze smutkiem widzę, że nie jestem tak ładna, jak mi się dawniej wydawało; przy tym przy kobietach, które się różują, straszliwie się traci. Na przykład pani de Merteuil, widzę dobrze, że wszyscy mężczyźni uważają ją za ładniejszą ode mnie: to mnie niezbyt martwi, bo ona mnie bardzo lubi; a przy tym zapewnia mnie, że kawalerowi Danceny ja się więcej podobam. Bardzo szlachetnie z jej strony, że mi to powiedziała! Zdawało mi się nawet, że jest z tego rada. Tego to już nie rozumiem. Jak ona mnie lubi! A on!... Och! tym to strasznie się cieszę! Toteż zdaje mi się, że wystarczy na niego popatrzeć, aby już stać się ładniejszą. Patrzałabym też ciągle, gdybym się nie lękała spotkać

jego oczu; za każdym razem, kiedy mi się to przytrafi, mieszam się zaraz i jakoś mi się robi przykro; ale to nic.

Do widzenia, jedyna: zabieram się do toalety. Kocham cię zawsze jak dawniej.

Paryż, 14 sierpnia 17**

List XV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Bardzo to ładnie z twojej strony, markizo, że nie zupełnie zapominasz o mnie w moich smutnych losach. Życie, jakie tu wiodę, jest w istocie nużące przez nadmierny spokój i bezbarwną jednostajność. Odczytując twój list i szczegóły owego rozkosznego dnia, doznawałem po dwadzieścia razy pokusy, aby zmyślić jakąś pilną sprawę, polecieć do twoich stóp i wybłagać, abyś bodaj na chwilę sprzeniewierzyła się kawalerowi, który, bądź co bądź, nie zasługuje na swoje szczęście. Czy wiesz, markizo, sprawiłaś, iż uczułem się zazdrosny? Cóż ty mi mówisz o wieczystym zerwaniu? Odwołuję te śluby, wyrzeczone w jakimś obłędzie; nie bylibyśmy godni ich uczynić, gdybyśmy istotnie mieli ich dotrzymać. Ach, gdybym mógł kiedyś pomścić w twych ramionach mimowolną przykrość, jakiej przyczyną stało się szczęście kawalera! Jestem oburzony, wyznaję, gdy pomyślę, że ten człowiek, bez żadnego planu, nie zadając sobie najmniejszego trudu, ot, idąc po prostu za

instynktem własnego serca, znajduje szczęście, którego ja nie mogę osiągnąć. Och, ja mu je zamączę... Przysiąż mi, że je zamączę. Ty sama, czyż nie czujesz się upokorzona? Ty sobie zadajesz tyle trudu, aby go oszukiwać, a on się czuje szczęśliwszym od ciebie! Tobie się zdaje, że go trzymasz w niewoli, a to ty raczej dźwigasz jego kajdany. On śpi spokojnie, podczas gdy ty czuwasz, łamiąc sobie głowę nad jego przyjemnościami. I cóż innego czyniłaby jego niewolnica?

Tak, piękna przyjaciółko, dopóki dzielisz się między kilku, nie doznaję uczucia najmniejszej zazdrości: widzę wówczas w twoich kochankach jedynie następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierzenia społem królestwa⁶³, którym ja władałem sam jeden. Ale abyś się miała oddać wyłącznie jednemu! Aby inny mężczyzna miał osiąść szczęście, które było moim udziałem! Tego nie ścierpię: nie myśl, bym zdołał to przenieść⁶⁴. Albo weź mnie z powrotem, albo przynajmniej weź jeszcze kogoś: nie zdradzaj, przez wyłączność swego kaprysu, owej niezniszczalnej przyjaźni, którąśmy sobie poprzysięgli.

Dosyć już chyba złego, jeśli miłość jest mi niełaskawa. Widzisz, markizo, że skłaniam się do twoich poglądów i przyznaję do własnych słabości. W istocie, jeżeli być zakochanym, znaczy nie móc żyć bez posiadania tego, czego

⁶³ *następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierzenia społem królestwa* – po śmierci Aleksandra Wielkiego w 323 r. p.n.e. najwyżsi dowódcy jego armii rozpoczęli tzw. wojny diadochów, które doprowadziły do podziału macedońskiego imperium między dowódców. [przypis edytorski]

⁶⁴ *przenieść* (daw.) – znieść, ścierpieć, przeboleć. [przypis edytorski]

się pragnie, poświęcać temu swój czas, przyjemności, życie, to naprawdę jestem zakochany. W niczym to zresztą nie polepsza sprawy. Nie miałbym ci nawet nic do doniesienia w tym przedmiocie, gdyby nie pewien wypadek, który mi daje dużo do myślenia i który nie wiem jeszcze, czy mnie winien przejąć obawą czy nadzieją.

Znasz mego strzelca; wiesz, co to za skarbnica przebiegłości, prawdziwy sługus z komedii: zgadujesz łatwo, że z urzędu swego miał poleczone robić słodkie oczy do panny służącej i rozpajać ludzi. Szelma, ma więcej szczęścia ode mnie: już zdołał coś uzyskać. Odkrył mianowicie, że pani de Tourvel poleciła któremuś z ludzi, aby zasięgnął wiadomości co do mego prowadzenia, a nawet aby mi towarzyszył z daleka w rannych wycieczkach, o ile mu się to uda bez zwrócenia uwagi. Cóż ona sobie myśli? Ona, ta skromnisia, ośmiela się brać na sposoby, na które zaledwie my byśmy się odważyli! Klnę się, że... Ale nim zacznę myśleć nad zemstą za tę kobietą sztuczkę, zajmijmy się sposobami obrócenia jej na swoją korzyść. Aż dotąd te podejrzone wycieczki nie miały żadnego celu; trzeba im wynaleźć jakiś. Zadanie to wymaga całego skupienia umysłu, opuszczam cię więc, markizo, aby się nad tym zastanowić. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

Zawsze z zamku ***, 15 sierpnia 17**

List XVI

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Ach, moja Zosiu, ileż nowin! Nie powinnam ci może mówić: ale muszę przecież zwierzyć się przed kimś; nie umiałabym się powstrzymać. Kawaler Danceny... Jestem tak wzruszona, że nie mogę wprost pisać: nie wiem, od czego zacząć. Od czasu, jak ci opowiadałam o przemiłym wieczorze⁶⁵, który spędziłam u mamy z nim i z panią de Merteuil, nie mówiłam ci o nim więcej: nie chciałam już mówić; ale mimo to myślałam o nim ciągle. Od tego czasu, on się zrobił smutny, ale taki smutny, że mi aż przykro było; kiedy pytałam, dlaczego, mówił, że nie: ale ja widziałam dobrze! Wreszcie, wczoraj był jeszcze smutniejszy niż zazwyczaj. Mimo to był na tyle uprzejmy, że śpiewał ze mną jak zawsze, ale, za każdym razem, kiedy na mnie popatrzył, serce się we mnie ścisnęło. Skoro skończyliśmy śpiewać, poszedł schować harfę, następnie zaś, oddając klucz od puzdra⁶⁶, prosił, abym przegrała jeszcze wieczorem, skoro tylko znajdę się sama. Nie podejrzewałam nic a nic; wymawiałam się nawet: ale on

⁶⁵ (...) *jak ci opowiadałam o przemiłym wieczorze* (...) – list, w którym mowa jest o tym wieczorze, nie odnalazł się. Można przypuszczać, że to ów wieczór, projektowany w bileciku pani de Merteuil, o którym jest również mowa w poprzedzającym liście panny de Volanges. [przypis tłumacza]

⁶⁶ *puzdro* – skrzynka lub pudełko z przegródkami, używane dawniej do przechowywania przedmiotów, zwłaszcza podczas podróży. [przypis edytorski]

tak prosił, aż powiedziałam, że dobrze. Wiedział czemu! Zatem, skoro wróciłam do siebie i kiedy panna służąca sobie poszła, wyjęłam harfę, i, wystaw sobie⁶⁷, znalazłam pomiędzy strunami list od niego, złożony tylko i niezapieczętowany! Ach, gdybyś ty wiedziała, co on mi tam pisze! Od czasu, jak przeczytałam ten list, taka jestem szczęśliwa, że nie mogę myśleć o niczym innym. Odczytałam go cztery razy z rzędu, a potem zamknęłam w sekretarzyku⁶⁸. Umiałam całutki na pamięć: kiedy już leżałam w łóżku, powtarzałam sobie tyle razy, że do spania zupełnie odeszła mi ochota. Jak tylko zamknęłam oczy, widziałam go tuż przed sobą, jak mi powtarza sam to wszystko, com wyczytała przed chwilą. Usnęłam bardzo późno; ledwie się obudziła (było jeszcze bardzo wcześnie), poszłam wydobyć list, aby znowu odczytywać do syta. Zabrałam go z sobą do łóżka, a potem całowałam tak, jak gdyby... To może niedobrze całować list w taki sposób, ale nie mogłam się wstrzymać.

Z tym wszystkim, droga Zosieńko, chociaż jestem bardzo rada, mam i wielki kłopot; bo to pewna, że nie powinnam odpowiadać na taki list. Wiem dobrze, że nie trzeba, ale cóż, kiedy on prosi; jeżeli nie odpowiem, znowu będzie taki smutny. To naprawdę strasznie niedobrze! Cóż ty mi radzisz? Ale ty tak samo nic nie wiesz jak ja. Mam wielką ochotę zwierzyć się pani de Merteuil, która mnie bardzo kocha. Chciałabym strasznie go pocieszyć; ale nie chciałabym zrobić nic, co by było nie tak,

⁶⁷ *wystawić sobie* (daw.) – wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

⁶⁸ *sekretarzyk* – biurko z nadbudówką zawierającą szufladki. [przypis edytorski]

jak trzeba. Tyle nam mówią, że powinno się mieć dobre serce! A potem, jak tylko chodzi o mężczyznę, zabraniają iść za tym, co ono powiada! Co za niesprawiedliwość! Czy mężczyzna nie jest naszym bliźnim tak samo jak kobieta, i bardziej jeszcze? Bo przecież ma się tak samo ojca jak matkę, tak samo brata jak siostrę! Pozostaje zatem jeszcze mąż jako nadwyżka. Jednak gdybym miała zrobić coś, co nie trzeba, może i sam pan Danceney nie miałby o mnie dobrego wyobrażenia! Och, gdyby tak, to już wolę, żeby był smutny, a zresztą zawsze mam czas to naprawić. Że on napisał do mnie wczoraj, to jeszcze ja nie jestem obowiązana pisać zaraz dzisiaj; dziś wieczór zobaczę panią de Merteuil i jeżeli się zdobęde, opowiem jej wszystko. Zrobię po prostu to, co ona powie, nie będę miała sobie nic do wyrzucenia. A może ona powie, że mogę odpowiedzieć troszeczkę, żeby nie był taki smutny! Och, straszniem zmartwiona. Do widzenia, moja złota. Powiedz mi, w każdym razie, co myślisz.

19 sierpnia 17**

List XVII

Kawaler Danceney do Cecylii Volanges

Pani! Zanim się oddam – nie wiem, jak to nazwać – szczęściu, czy też potrzebie pisania do pani, błagam, abyś raczyła mnie wysłuchać. Rozumiem, iż odważając się na zwierzenie mych uczuć, potrzebuję całej twej pobłażliwości: byłaby ona

zbyteczną, gdyby chodziło jedynie o usprawiedliwienie tego, co czuję. Czymże jest bowiem to wyznanie, jeżeli nie stawieniem ci przed oczy twego własnego dzieła? I co mogę ci powiedzieć, pani, czego by moje spojrzenia, moje wzruszenie, zachowanie się, milczenie nawet nie zdradziło ci wcześniej, nim ja się ośmieliłem to uczynić? I czemuż byś się miała gniewać o uczucie, które sama zbudziłaś? Natchnione przez ciebie, nie może być ciebie niegodnym: jeśli jest płomienne jak moja dusza, czyste jest jak twoja. Czyż miałoby być zbrodnią, iż umiałem ocenić uroczą twarzyczkę, czarujące talenty, wdzięk nieodparty i wzruszającą niewinność, która dodaje nieporównanej ceny tym tak już cennym przymiotom? Nie, z pewnością nie: ale, nie będąc winnym, można być nieszczęśliwym; oto los, który mnie czeka, jeśli ty, pani, odtrącisz hołd mego uwielbienia. Jest to pierwszy, jaki serce moje złożyło komukolwiek. Bez ciebie byłbym dotąd, nie powiem: szczęśliwy, ale spokojny. Ujrzałem ciebie: spokój odleciał daleko, a szczęście tak niepewne! Mimo to dziwisz się memu smutkowi; pytasz o przyczynę; czasem nawet zdawało mi się, że on i ciebie dotyka. Ach, powiedz słowo, a szczęście moje stanie się twym dziełem! Ale zanim je wypowiesz, pomyśl, że jedno słowo może również dopełnić miary nieszczęścia. Bądź zatem władczynią mego losu. Przez ciebie mogę być na wieki zbawiony lub przeklęty. W jakież droższe ręce mógłbym złożyć sprawę większej dla mnie wagi?

Kończę jak zacząłem: odwołaniem się do twojej pobłażliwości. Prosiłem, abyś mnie wysłuchała; odważę się na więcej: błagam,

byś raczyła odpowiedzieć. Odmówić, znaczyłoby pozwalać mi przypuszczać, że czujesz się obrażoną, serce zaś moje jest rękojmią, że mój szacunek dorównywa miłości.

PS Gdybyś raczyła mi, pani, odpowiedzieć, możesz się posłużyć sposobem, którego ja użyłem; zdaje mi się zarówno pewny, jak dogodny.

18 sierpnia 17**

List XVIII

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Jak to, Zosiu, z góry już potępiasz to, co chcę uczynić! Dostyc miałam niepokojów, a ty je jeszcze pomnażasz. To jasne, powiadasz, że nie powinnam odpowiadać. Łatwo tobie mówić; zresztą, ty nie wiesz naprawdę, jak jest: nie widzisz na własne oczy. Jestem pewna, że gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś jak ja. Z pewnością, że w zasadzie nie należy odpowiadać; widziałas po moim wczorajszym liście, że i ja nie chciałam: ale bo też nie przypuszczam, aby ktoś kiedykolwiek znajdował się w podobnym położeniu!

Do tego musiałam rozstrzygać zupełnie sama! Pani de Merteuil, którą spodziewałam się zobaczyć wczoraj, nie przyszła. Wszystko obraca się przeciw mnie: przecież to ona jest przyczyną, że jego poznałam. Prawie zawsze przy niej widywałam go, rozmawiałam z nim. To nie znaczy, abym miała

zał do niej, ale zostawia mnie tak samą w chwili największego kłopotu. Biedna ja, doprawdy!

Wyobraź sobie, on wczoraj przyszedł jak zwyczajnie. Byłam tak zmieszana, że nie śmiałam nań popatrzeć. Nie mógł mówić ze mną, mama była w pokoju. Domyślałam się, że będzie zmartwiony, skoro zobaczy, że nie ma listu. Nie wiedziałam, jak się zachować. W chwilę potem zapytał, czy chcę, aby przynieść harfę. Serce mi biło tak mocno, że nic nie byłam w stanie odpowiedzieć, tylko *tak*. Kiedy wrócił, było jeszcze gorzej. Popatrzyłam nań tylko króciutką chwilę. On nie patrzył na mnie: ale wyglądał tak, że można by pomyśleć, że jest chory. Strasznie mi było ciężko. Zaczął stroić harfę, potem zaś, podając, rzekł: „Ach! pani!...”. Powiedział tylko tyle: ale takim tonem, że się wszystko we mnie zatrzęśło. Wzięłam parę akordów, nie wiedząc zupełnie, co czynię. Mama zapytała, czy nie będziemy śpiewać. On wymówił się, podając, że jest nieco cierpiący, ale ja nie miałam wymówki. Byłabym wolała nigdy nie mieć głosu. Wybrałam umyślnie jakąś arię, której nie przerabiałam: byłam bowiem pewna, że nie umiałabym śpiewać i że musiano by się czegoś domyślić. Na szczęście, zjawił się ktoś; skoro tylko usłyszałam turkot karety, przerwałam i poprosiłam go, aby odniósł harfę. Bałam się strasznie, że już całkiem sobie pójdzie, ale nie: wrócił.

Podczas gdy mama i ta pani, która przyjechała, rozmawiały z sobą, chciałam nań popatrzeć jeszcze chwileczkę. Spotkałam się z jego oczami i niepodobna mi się było już oderwać.

W chwilę później spostrzegłam, jak mu łzy płyną po twarzy; zmuszony był odwrócić się, aby kto nie zauważył. Wówczas nie mogłam już się opanować; czułam, że sama się rozplacę. Wyszłam z pokoju i naprędce napisałam ołówkiem na skrawku papieru: „Niech pan nie będzie taki smutny, proszę bardzo, przyrzekam, że panu odpowiem”. Nie możesz chyba powiedzieć, żeby w tym było co złego; zresztą, to było już nad moje siły. Założyłam za struny, tak jak on tamten list, i wróciłam do salonu. Czułam się znacznie spokojniejsza. Pilno mi było, żeby ta pani już się podziała. Na szczęście, śpieszyła się gdzieś i poszła niedługo. Zaledwie się zabrała, powiedziałam, że mam ochotę jeszcze pograć trochę i prosiłam go, aby przyniósł harfę. Widziałam z twarzy, że niczego się nie domyśla. Ale za powrotem, och! jakież był szczęśliwy! Ustawiając harfę, umieścił się w ten sposób, że mama nie mogła widzieć i wziął mnie za rękę, przy tym uścisnął... ale jak!... Trwało to tylko jedną chwilę; ale nie umiem ci powiedzieć, jakie było przyjemne. Mimo to cofnęłam rękę, nie mam więc sobie nic do wyrzucenia.

Teraz, moja jedyna, widzisz, że nie mogę już nie napisać, skoro przyrzekłam; a przy tym nie umiałabym mu zrobić takiej przykrości, bo ja przez to cierpię bardziej jeszcze od niego. Gdyby chodziło o coś złego, z pewnością bym tego nie uczyniła. Ale cóż może być złego w napisaniu listu, zwłaszcza jeżeli chodzi o to, aby ktoś nie był nieszczęśliwy? Boję się tylko, że nie będę umiała dobrze napisać; ale on przecież zrozumie, że to nie moja wina; zresztą, jestem pewna, że już przez to samo, że ode mnie,

list zrobi mu przyjemność.

Do widzenia, Zosieńko najdroższa. Jeżeli myślisz, że źle uczyniłam, powiedz szczerze; ale nie zdaje mi się. W miarę jak zbliża się chwila pisania, serce mi tak bije, że nie możesz sobie wprost wyobrazić. Ale cóż, trzeba, skoro przyrzekłam.

21 sierpnia 17**

List XIX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Był pan wczoraj tak smutny i robiło mi to taką przykrość, że to skłoniło mnie do przyrzeczenia, iż odpowiem panu na list. Zdaję sobie dobrze sprawę, że nie powinnam; ponieważ jednak przyrzekłam, nie chcę uchylać się od danego słowa: to powinno być wyraźnym dowodem przyjaźni, jaką mam dla pana. Teraz, kiedy pan już wie, spodziewam się, że już pan nie będzie żądał, abym więcej pisała. Spodziewam się również, że pan nikomu nie powie, żem do pana pisała, z pewnością bowiem wzięto by mi to za złe i miałabym w domu wiele przykrości. Spodziewam się przede wszystkim, że pan sam nie będzie miał o mnie z tego powodu złego wyobrażenia; to by mnie zmartwiło daleko więcej jeszcze niż wszystko. Mogę upewnić, że nie zgodziłabym się na to dla nikogo prócz pana. Chciałabym bardzo, aby pan w zamian nigdy nie był już taki smutny jak wtedy; to mi odbiera całą przyjemność widzenia pana. Widzi pan, mówię do pana bardzo

szczerze. Z całego serca bym chciała, aby nasza przyjaźń trwała
wiecznie, ale proszę bardzo, niech pan już nie pisze.

Mam zaszczyt pozostać...

Cecylia Volanges

21 sierpnia 17**

List XX

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Ej, wicehrabio, nic dobrego z ciebie, przymilasz mi się z obawy, abym sobie nie drwiła! Ale nie lękaj się, przebaczam ci: piszesz mi w swoim liście tyle szaleństw, że muszę ci wybaczyć statek⁶⁹, jaki narzuca ci prezydentowa. Nie zdaje mi się, aby mój kawaler umiał się zdobyć na równą pobłażliwość; sędzę przeciwnie, że takie odnowienie kontraktu między nami nie bardzo by mu się podobało i że twój szalony pomysł wcale by mu się nie wydał zabawny. Co do mnie, uśmiełam się z całego serca i doprawdy żałowałam, że musiałam śmiać się sama jedna. Gdybyś w tej chwili znalazł się gdzieś pod ręką, nie wiem, dokąd by mnie zaprowadziło rozbawienie; ale miałam czas opamiętać się i uzbroić w pancerz surowości. Nie znaczy to, abym odmawiała na zawsze; ale odraczam; mam powody. Gotowa by się jeszcze we mnie obudzić miłość własna, a skoro raz już ona wejdzie w grę, nigdy nie wiadomo, dokąd może

⁶⁹ *statek* (daw.) – stateczność. [przypis edytorski]

zaprowadzić. Byłabym zdolna na nowo jeszcze chcieć zakuć cię w kajdany i przyprawić o zapomnienie twojej prezydentowej; a gdybym ja, niegodna, miała obrzydzić ci powab cnoty, pomyśl, co za zgorszenie! By uniknąć tego niebezpieczeństwa, oto moje warunki:

Skoro tylko zdobędziesz piękną nabożniwą i będziesz mi mógł dostarczyć dowodów w tej mierze, przybywaj, a jestem twoja. Ale nie potrzebuję ci mówić, że w sprawach tej wagi dowody muszą być na piśmie. Przez taki układ, z jednej strony, ja stanę się nagrodą zamiast być pocieszeniem, i ta myśl bardziej mi się uśmiecha; z drugiej, zwycięstwo twoje nad tą cnotką nabierze jeszcze ostrzejszego smaku, stając się tym samym drogą do tym rychlejszej niewierności. Przybywaj więc, przybywaj, jak najspieszniej przynieść mi zakład swego tryumfu: podobny do dawnych chrobrych⁷⁰ rycerzy, którzy u stóp swoich dam składali świetne trofea zwycięstwa. Doprawdy, szczerze ciekawa jestem, co może pisać skromnisia po takim momencie i w jakie zasłony stroi jeszcze swoje gawędy wówczas, gdy osobę pozwoliła już rozebrać ze wszystkich. Twoją rzeczą rozważyć, czy stawiam za siebie cenę zbyt wysoką; ale uprzedzam, że nic z niej nie opuszczę. Aż do tego czasu, drogi wicehrabio, pozwolisz, że zostanę wierną kawalerowi i nadal będę się zabawiała uszczęśliwianiem go, mimo drobnej przykrości, o jaką cię to przyprawia.

Jednakże, gdybym mniej miała zasad moralnych, obawiam

⁷⁰ *chrobry* (daw.) – odważny. [przypis edytorski]

się, iż miałby on w tej chwili niebezpiecznego rywala: a to w osobie małej Volanges. Szaleję wprost za tym dzieckiem: to istna namiętność. Albo się bardzo mylę, albo też będzie ona kiedyś jedną z naszych najbardziej rozrywanych piękności. Patrząc, jak stopniowo rozwija się to małe serduszek: obrazek wprost zachwycający. Kocha się już w Dancenym z całą zapamiętałością, ale jeszcze nic o tym nie wie. On, zakochany po uszy, ale niezdarny jak młokos, nie śmie jej nadto okazywać swych zapałów. Oboje ubóstwiają mnie po prostu. Mała zwłaszcza ma straszliwą ochotę zwierzyć mi się ze swą tajemnicą; od kilku dni widzę, że wprost rady sobie dać nie może. Wyświadczyłabym jej wielką przysługę, gdybym jej trochę dopomogła: ale nie zapominam o tym, że to zupełnie dziecko i nie chcę się narażać. Danceny wynurzał się przede mną nieco wyraźniej; co do niego, droga moja jest zupełnie jasna: nie chcę słyszeć o niczym. Co się tyczy małej, nieraz bierze mnie pokusa, aby z niej zrobić swoją uczennicę; miałabym wielką ochotę oddać tę przysługę Gercourtowi. Czasu zostawia mi aż nadto, skoro aż do października uwięziony jest na Korsyce. Bardzo mi się coś zdaje, że skorzystam z odwłoki⁷¹ i że w miejsce niewinnej pensjonarki damy mu za żonę zupełnie już gotową kobietkę. Cóż to w istocie za zuchwała pewność siebie u tego człowieka, który ośmiela się zasypiać spokojnie, podczas gdy obrażona przezeń kobieta nie zemściła się jeszcze? Ot, gdybym miała w tej chwili pod ręką tę małą, nie wiem sama, czego bym jej nie naplotła.

⁷¹ *odwłoka* (daw.) – zwłoka, odłożenie sprawy. [przypis edytorski]

Bywaj mi zdrów, wicehrabio; życzę ci dobrej nocy i powodzenia w zamysłach: ale, na miłość Boga, postępujże trochę. Pomyśl, że jeżeli ty nie będziesz miał tej kobiety, wszystkie inne będą musiały się rumienić, iż miały ciebie.

19 sierpnia 17**

List XXI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Nareszcie, piękna przyjaciółko, zrobiłem krok naprzód, ale krok nie lada; jeżeli nie doprowadził mnie do celu, to pouczył przynajmniej, że znajduję się na dobrej drodze, i rozprószył obawy, żali⁷² przypadkiem nie zbłądziłem na manowce. Nareszcie wyznałem miłość i jakkolwiek zachowano w tej mierze najupartsze⁷³ milczenie, zdobyłem mimo to odpowiedź równie pochlebną, jak niezostawiającą wątpliwości. Ale nie uprzedzajmy wypadków i sięgnijmy do początków.

Przypominasz sobie może, iż pani moja kazała śledzić me kroki. Zapragnąłem tedy, aby to gorszące przedsięwzięcie obróciło się ku powszechnemu zbudowaniu, i oto co uczyniłem. Poleciałem memu *factotum*⁷⁴, aby mi znalazł w okolicy

⁷² żali (daw.) – czy. [przypis edytorski]

⁷³ najupartszy – dziś tylko: najbardziej uparty. [przypis edytorski]

⁷⁴ *factotum* (łac.) – służący lub inna osoba wykonująca wiele różnych czynności. [przypis edytorski]

jakiegoś potrzebującego pomocy biedaka. Zlecenie nietrudne do wykonania. Wczoraj po południu przyszedł mi oznajmić, że dziś rano komornik ma zająć cały dobytek ubogiej rodziny niemającej z czego opłacić podatku. Upewniłem się, że nie ma w tym domu żadnej dziewczyny ani kobiety, której wiek i uroda mogłyby uczynić postępек mój podejrzanym; i gdy już o wszystkim dokładnie zasięgnąłem języka, objawiłem przy wieczerzy zamiar udania się na polowanie nazajutrz wczesnym rankiem.

Tu muszę oddać sprawiedliwość prezydentowej: z pewnością musiały ją nieco dręczyć wyrzuty sumienia, iż puściła się na śliską drogę śledzenia cudzych postępków, nie mając zaś siły do zwalczania ciekawości, zdobyła się na odwagę zwalczania mego zamiaru. „Zapowiada się na jutro straszne gorąco; mogę się nabawić choroby; nic nie zabiję i tylko zmęcę się na próżno”, etc. etc. W ciągu tych perswazji, spojrzenia jej, wymowniejsze może, niżby sama pragnęła, dostatecznie jawiły, jak gorąco sobie życzy, abym te liche racje przyjął za dobrą monetę. Ani mi w głowie było się poddawać, jak łatwo możesz się domyślić, markizo; oparłem się nawet małej diatrybie⁷⁵ przeciw polowaniu i myśliwym, jak również lekkiej chmurce niezadowolenia, która przesłoniła na resztę wieczoru niebiańskie oblicze. Obawiałem się przez chwilę, aby nie odwołała poleceń i aby ten spóźniony skrupuł nie pokrzyżował mych planów. Nie brałem w rachubę kobiecej ciekawości; toteż omyliłem się. Strzelec mój rozproszył obawy jeszcze tego samego wieczoru,

⁷⁵ *diatryba* – wypowiedź wyrażająca protest lub krytykę. [przypis edytorski]

zaczem⁷⁶, pełen zadowolenia, udałem się na spoczynek.

Z pierwszym brzaskiem zrywam się i wychodzę. Ledwie o pięćdziesiąt kroków od zamku spostrzegam szpiega, który postępuje trop w trop za mną. Wchodzę na teren polowania i posuwam się przez pola ku wiosce, będącej celem mej wyprawy, nie mając w ciągu drogi innej rozrywki, jak tylko porządne przepędzenie gamonia, który bojąc się zejść z gościńca, musiał przebiegać przy każdym zwrocie potrójną drogę. Jednakże pędząc go w ten sposób i sam zgrzałem się porządnie; aby więc odpocząć chwilę, usiadłem pod drzewem. Patrząc spod oka, a ten hultaj posuwa bezczelność tak daleko, że skrada się wzdłuż krzaków odległych nie więcej niż o dwadzieścia kroków i również się rozsiada! Przez chwilę korciło mnie, aby mu posłać z jeden nabój, który, choć z drobnego śrutu, pouczyłby go dostatecznie o niebezpieczeństwach ciekawości: szczęściem dla niego, przypomniałem sobie, że ten szpieg jest użyteczny, a nawet potrzebny dla moich zamysłów; ta refleksja ocaliła go.

Niebawem, znalazłem się we wsi; widzę zbiegowisko; zbliżam się, wypytuję; opowiadają mi wydarzenie. Każę wołać komornika i idąc za popędem szlachetnego współczucia, płacę wspaniałomyślnie pięćdziesiąt sześć funtów, za cenę których pięć osób miało postradać dach nad głową i możliwość pracy. Po tym uczynku tak prostym, nie wyobrażasz sobie, markizo, jakie błogosławieństwa posypały się na mą głowę. Jakie łyzy wdzięczności płynęły z oczu starca, głowy rodziny, i jaką

⁷⁶ *zaczem* (daw.) – po czym, następnie. [przypis edytorski]

pięknością uszlachetniły to oblicze patriarchy, które chwilę przedtem było niemal wstrętne z malującym się piętnem najstraszliwszej rozpaczki! Przyglądałem się temu widowisku, gdy nagle inny wieśniak, młodszy, prowadząc za rękę żonę i dwoje dzieci i zbliżając się pośpiesznym krokiem, rzekł: „Padnijmy wszyscy do nóg tego pana, dobrego jak sam Bóg”. W tej samej chwili ujrzałem całą rodzinę klęczącą u moich kolan. Przyznaję się do chwili słabości: oczy zwilżyły mi się łzami; uczułem jakieś wzruszenie niezależne od woli, ale pełne rozkoszy. Zdumiony byłem odkryciem, jak wiele przyjemności znajduje się, czyniąc dobrze; skłonny jestem do przypuszczenia, że ci, których zwykliśmy nazywać cnotliwymi ludźmi, nie mają może tak wielkiej zasługi, jak by się zdawało na pozór. Tak czy owak, uważałem za słuszne zapłacić biednym ludziom przyjemność, jaką mi sprawili. Wziąłem z sobą dziesięć *luidorów*⁷⁷; rozdałem je.

Tak tedy pośród rozlewnych błogosławieństw całej rodziny, wyglądałem sobie na jakiegoś bohatera dramatu w chwili szczęśliwego rozwiązania. Pojmujesz, że w tym tłumie główną osobą był dla mnie gorliwy szpieg. Cel był osiągnięty; uwolniłem się od gromady i wróciłem do zamku. Razem wzięwszy, mogę sobie powinszować pomysłu. Ta kobieta warta jest niewątpliwie, aby sobie zadać dla niej tyle trudów; kiedyś staną się one dla mnie brzęczącą walutą; w ten sposób, zapłaciwszy niejako z góry, będę mógł rozrządzać jej osobą wedle zachcenia, bez najmniejszych

⁷⁷ *luidor* – złota moneta francuska, bita od 1640 do 1791 r. [przypis edytorski]

wyrzutów.

Zapomniałem dodać, że chcąc już wszystko wyzyskać, prosiłem poczciwych ludzi, aby się modlili do Boga za spełnienie mych zamiarów. Zaraz przekonasz się, czy ich prośby nie zostały już w części wysłuchane... Ale oto oznajmiamą mi, że wieczerza na stole; byłoby już za późno na wysłanie listu, gdybym go miał kończyć, dopiero udając się na spoczynek. Zostawiam więc resztę do następnej przesyłki. Żałuję bardzo, bo reszta jest najciekawsza. Do widzenia, miła przyjaciółko. Okradasz mnie o jedną chwilę przyjemności oglądania mego bóstwa.

18 sierpnia 17**

List XXII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Sądzę, iż rada pani będzie zapoznać się z pewnym rysem charakteru pana de Valmont; rysem, który, o ile mi się zdaje, odbiega ogromnie od tych, jakimi go pani odmalowano. Tak przykro jest myśleć niekorzystnie o kimkolwiek, tak boleśnie znajdować jedynie błędy w tych, którzy by mieli wszelkie potrzebne warunki, aby przedstawiać cnotę we wszystkich jej powabach! Wreszcie, pani tak ceni pobłażliwość, że jedynie można cię ucieszyć, dostarczając motywów odstąpienia od nazbyt może surowego sądu. Zdaje mi się, że pan de Valmont miałby prawo do tej łaski, powiedziałabym niemal do tej

sprawiedliwości; i oto na czym buduję swój sąd.

Dziś rano wybrał się na jedną z owych przechadzek, które mogły pani nasunąć przypuszczenie, iż pan de Valmont nawiązuje już jakąś miłośćkę w okolicy, przypuszczenie, którego – przyznaję się do winy – chwyciłam się może z nazbyt wielką żywością. Szczęściem dla niego, a zwłaszcza szczęściem dla nas (ponieważ ocala nas to od niesprawiedliwości), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę⁷⁸; dzięki temu ciekawość moja, karygodna, ale w tym wypadku zbawienna, została zaspokojona. Człowiek ów przyniósł wiadomość, że pan de Valmont, znalazłszy we wsi *** nieszczęśliwą rodzinę, której dobytek właśnie miano zająć, ponieważ nie miała z czego opłacić podatków, nie tylko pośpieszył z wyrównaniem długu biednych ludzi, ale nawet wręczył im dość znaczną kwotę. Biedacy wspominali również o jakimś służącym, który wedle opisu wygląda na służącego pana de Valmont, a który poprzedniego dnia zasięgał wiadomości o mieszkańcach wsi najbardziej potrzebujących pomocy. Jeżeli tak było w istocie, nie jest to nawet przelotne współczucie wypływające z przypadku; to już określony zamiar czynienia dobrze; dobroczynność uprawiana ze zrozumieniem; najwznioślejsza cnota najpiękniejszych dusz na ziemi. Zresztą, z rozmysłu czy z przypadku, jest to w każdym razie czyn zacny i chwalebny; samo opowiadanie o nim do łez mnie poruszyło. Dodam więcej, również dla sprawiedliwości, że

⁷⁸ *szczęściem (...), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę* – Czyżby pani de Tourvel nie śmiała wyznać, iż było to z jej rozkazu? [przypis autorski]

kiedy wspomniałam panu de Valmont o zdarzeniu, o którym sam nie rzekł ani słowa, zrazu się zapierał, a skoro wreszcie się przyznał, uczynił to ze skromnością zwiększającą jeszcze zasługę.

A teraz, powiedz mi, czcigodna przyjaciółko: jeżeli pan de Valmont jest w istocie zakamieniałym niegodziwcem, a postępuje w ten sposób, cóż zaprawdę wypadnie czynić ludziom poczciwym? Jak to! Żli mieliby dzielić z dobrymi święte rozkosze zacnego uczynku? Bóg miałby pozwolić, aby cnotliwa rodzina otrzymywała z ręki nędznika ratunek i składała zań dzięki Jego boskiej Opatrzności? Mógłby sobie podobać w tym, aby słyszeć, jak czyste usta zlewają błogosławieństwa na jakiegoś wyrodka? Nie. Wolę raczej przypuścić, że błędy jego, choć zastarzałe, nie płyną z jego natury; nie mogę myśleć, aby ten, który czyni dobrze, miał być wrogiem cnoty. Pan de Valmont jest może tylko jednym przykładem więcej niebezpieczeństwa złych wpływów. Chwytam się tego przypuszczenia, w które rada bym uwierzyć.

Mam zaszczyt być, etc.

PS Pani de Rosemonde i ja wybieramy się w tej chwili, aby poznać tę złą a nieszczęśliwą rodzinę i dołączyć naszą spóźnioną pomoc do ofiary pana de Valmont. Weźmiemy go z sobą. W ten sposób damy przynajmniej tym dobrym ludziom przyjemność oglądania swego dobroczyńcy; to, zdaje się, wszystko, co nam pozostawił.

Z zamku ***, 18 sierpnia 17**

List XXIII

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Przerwaliśmy tedy korespondencję w chwili mego powrotu do zamku; idźmy dalej. Otóż przebrałem się spiesznie i udałem do salonu, gdzie moja pani pracowała nad haftem, podczas gdy proboszcz czytał ciotce gazetę. Zbliżyłem się i usiadłem przy krosnach. Parę spojrzeń, słodszych jeszcze niż zazwyczaj, niemal pieśczośliwych, pozwoliło mi domyślić się, że służący musiał już zdać sprawę z poselstwa. Jakoż ciekawa istotka nie umiała długo utrzymać tak chytrze zdobytej tajemnicy i nie wahając się przerwać czcigodnemu pasterzowi, którego czytanie mocno przypominało kazanie niedzielne, rzekła: „I ja mam także coś do opowiedzenia”; po czym z miejsca wyrecytowała całą mą przygodę z dokładnością zaszczytnie świadczącą o jej talencie dziejopisa. Wyobrażasz sobie, jak skwapliwie rozwinąłem skarby skromności: ale któż byłby zdolny powstrzymać kobietę śpiewającą bezwiednie pochwały tego, którego kocha? Ostatecznie, trzeba jej było zostawić wolne pole. Podczas tego panegiryku⁷⁹ ja, śledząc ją spod oka, czerpałem najrozkoszniejsze nadzieje w tkliwym spojrzeniu, ruchach bardziej ożywionych niż zazwyczaj, a przede wszystkim w głosie, który już samym zmienionym brzmieniem zdradzał

⁷⁹ *panegiryk* – utwór wysławiający osobę, czyn lub wydarzenie. [przypis edytorski]

stan jej duszy. Zaledwie skończyła mówić, ozwała się pani de Rosemonde: „Pójdź, chłopcze, niech cię ucałuję”. Połapałem się natychmiast, że piękna kaznodziejka również nie będzie mogła się obronić przed moim uściskiem. Mimo to chciała uciekać, ale w tejże chwili znalazła się w moich ramionach: nie tylko że nie miała mocy się opierać, ale zaledwie zdołała utrzymać się na nogach. Im dłużej patrzę na tę kobietę, tym bardziej staje mi się pożądaną. Z pośpiechem wróciła do krosien i na pozór zabrała się do haftu; ale widziałem dobrze, że drzenie rąk nie pozwala jej rozpocząć.

Po obiedzie panie zapragnęły ujrzeć ową tak wspaniałomyślnie ocaloną rodzinę; musiałem im towarzyszyć. Oszczędzę ci, markizo, nudy wysłuchania drugiej serii pochwał i wdzięczności. W ciągu drogi piękna prezydentowa, pogrążona w zadumie, nie rzekła ani słowa. Ja również milczałem, myśląc nad sposobami rychłego wykorzystania dzisiejszych wypadków. Jedyne pani de Rosemonde usiłowała gawędzić, odbierając zaledwie skąpe i krótkie odpowiedzi. Musieliśmy ją znudzić; leżało to w moich planach i powiodło się w zupełności. Toteż wysiadłszy z powozu, udała się do swoich pokoi, zostawiając nas sam na sam w słabo oświetlonym salonie: łagodny półmrok, dodający odwagi trwożliwej miłości.

Bez trudu udało mi się skierować rozmowę na zamierzone tory. Zapał uroczej kaznodziejki przyszedł mi z pomocą. „Skoro się jest tak powołanym do tego, aby czynić dobrze – rzekła, kładąc na mnie lube spojrzenie – jak można trawić życie na

złym?” – „Nie zasługuję – odparłem – ani na tyle pochwał, ani na tyle potępienia; nie pojmuję, w jaki sposób przy swoim rozumie i bystrości nie przeniknęła jeszcze pani mojej tajemnicy. Chociażby szczerść miała mi zaszkodzić w pani oczach, zbyt godną jej jesteś, bym mógł przed tobą coś ukrywać. Klucz do mego dotychczasowego życia znajdziesz w charakterze, niestety nazbyt słabym. Otoczony towarzystwem ludzi bez zasad, naśladowałem ich błędy: być może nawet siliłem się przewyższyć ich jeszcze. Tak samo teraz, pociągnięty przykładem cnoty, choć bez nadziei dorównania ci, pani, chciałem próbować bodaj zbliżyć się do ciebie. Kto wie? Czyn, za który chwalisz mnie dzisiaj, straciłby może całą wartość w twych oczach, gdybyś znała jego prawdziwe pobudki! (Widzisz markizo, jak bliskim tutaj byłem najistotniejszej prawdy.) Wcale nie mnie – ciągnąłem – ci biedacy zawdzięczają ratunek. Tam, gdzie pani widzisz chwalebny postępek, ja szukałem jedynie sposobu podniesienia się w twych oczach. Byłem, skoro mam wyznać całą prawdę, jedynie słabym narzędziem Bóstwa, które uwielbiam. (Tu chciała przerwać, lecz nie pozwoliłem.) I dziś – dodałem – jedynie słabość charakteru zdradziła ci mą tajemnicę. Przynależem sobie zamilczeć ją przed panią; szczęściem mi było nieść twoim cnotom, jak i twoim wdziękom, czysty hołd, o którym nigdy nie miałaś się dowiedzieć. Nie zdołałem wytrwać, ale w ten sposób nie będę sobie przynajmniej wyrzucał wobec ciebie niegodnej obłudy. Nie sądz, pani, iż śmiem cię obrażać zuchwałą nadzieją. Będę nieszczęśliwym, wiem

o tym: ale cierpienia moje pozostaną mi zawsze drogic: będą świadectwem bezmiaru mej miłości; u twoich stóp, na twym łonie pragnę złożyć swoje udręczenia. Tam będę czerpał siły do nowych cierpień; tam znajdę pełną współczucia dobroć i ulgę w niedoli, skoro ty, pani, uzalisz się nade mną. O ty, którą ubóstwiam, wysłuchaj mnie, ulituj się nade mną, wesprzyj mnie”. W ciągu tej przemowy znalazłem się u jej kolan i tuliłem jej ręce; ale ona, uwalniając je nagle z mego uścisku i przyciskając do oczu z wyrazem rozpaczy, wykrzyknęła: „Ach, ja nieszczęśliwa!”. Po czym zalała się łzami. Na szczęście, ja przejąłem się do tego stopnia rolą, że płakałem również; ujmując na nowo jej ręce, oblałem je obficie łzami, było to prawie że konieczne, gdyż pochłonięta własną boleścią nie byłaby zauważyła mego wzruszenia. Dzięki temu mogłem do syta napatrzeć się tej czarującej twarzy, którą przemożny powab łez czynił jeszcze piękniejszą. Głowę miałem całą w ogniu i tak dalece nie byłem panem siebie, że już chciałem się pokusić o wykorzystanie sytuacji.

Ach, jakież słaby jest człowiek! Jakąż władzę mają nad nami okoliczności, skoro ja sam, zapominając o mych zamiarach, gotów już byłem przez takie przedwczesne zwycięstwo poświęcić urok długich walk i słodczye powolnego upadku; skoro, uniesiony pragnieniem istotnie godnym młokosa, miałem już narazić zwycięzcę pani de Tourvel na to, aby otrzymał jako owoc mozołów jedynie mdłą przyjemność posiadania jednej kobiety więcej! Och, nie! Niechaj się podda, ale niech

walczy; niechaj, nie mając dość siły, aby zwyciężyć, ma jej na tyle, aby się opierać; niech karmi się do syta poczuciem własnej słabości i niech będzie zmuszona sama uznać swą porażkę. Zostawmy raubszycom⁸⁰ zabijanie jelenia z zasadzki: prawdziwy myśliwiec⁸¹ musi go ująć w regularnym pościgu. Jest coś szczytnego w tym zamiarze, nieprawdaż, ale kto wie, czy zdołałbym w nim wytrwać, gdyby przypadek nie był przyszedł na pomoc roztropności.

Usłyszeliśmy szelest. Ktoś wszedł, pani de Tourvel, przestraszona, wstała śpiesznie, pochwyciła świecznik i wyszła. Nie mogłem jej zatrzymać. Okazało się, że to tylko służący. Skoro tylko upewniłem się o tym, podążyłem za nią. Zaledwie uczyniłem kilka kroków, ona, zdjeta uczuciem nieokreślonego lęku, przyspieszyła kroku i wpadła raczej niż weszła do swego pokoju, zamykając gwałtownie drzwi. Chciałem wśliznąć się za nią, ale zamknęła się na klucz. Nie zapukałem oczywiście; byłbym jej dał sposobność do nazbyt łatwego oporu. Wpadłem na szczęśliwą a prostą myśl, aby zajrzeć przez dziurkę od klucza: ujrzałem tę anielską kobietę na kolanach, zalaną łzami i pogrążoną w gorącej modlitwie. Jakiegoż Boga ważyła się przyzywać? Czyż istnieje potężniejszy niżeli Miłość? Na próżno próbuje się uciekać do obcej pomocy; w moim już ręku spoczywają jej losy.

W przekonaniu, iż dosyć działałem jak na jeden dzień,

⁸⁰ *raubszycc* (daw.) – kłusownik. [przypis edytorski]

⁸¹ *myśliwiec* – dziś popr.: myśliwy. [przypis edytorski]

udałem się również do siebie i zabrałem się do tego listu. Myślałem, że ujrzę panią de Tourvel przy wieczerzy; kazała oznajmić, że jest cierpiąca i położyła się. Pani de Rosemonde chciała ją odwiedzić; wymówiła się straszliwym bólem głowy. Pojmujesz, że po wieczerzy niedługo trwała zabawa w salonie i że ja również dostałem migreny. Wróciwszy do siebie, napisałem długi list z wyrzutami za takie postępowanie i położyłem się z zamiarem oddania go nazajutrz rano. Nie mogąc usnąć, wstałem, aby jeszcze odczytać swoje bazgroty, i stwierdziłem, że nie dosyć czuwałem nad sobą; więcej w nich przebija pożądania niż miłości i więcej złego humoru niż smutku. Będę musiał przerobić; ale na to trzeba by mieć spokojniejszą głowę.

Już pierwszy brzask na niebie; może on mi sen przyniesie. Wracam do łóżka; mimo całej władzy, jaką ma nade mną ta kobieta, przysięgam ci, markizo, aż nazbyt często nawiedza mnie w snach twoja urocza postać. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

19 sierpnia 17**, o godzinie 4 rano

List XXIV

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Ach, przez litość, pani, chciej ukoić niepokój mej duszy; chciej objawić mi, czego mam się spodziewać lub lękać. Zawieszonemu między bezmiarem szczęścia lub niedoli, niepewność nazbyt okrutnym jest cierpieniem. Po cóż uczyniłem

to wyznanie? Czemuż nie umiałem się oprzeć przemożnemu czarowi, który zdradził przed tobą, pani, tajniki mych myśli? Szczęśliwy, iż mogłem uwielbiać cię w milczeniu, upajałem się własną miłością; uczucie, którego nie mącił wówczas obraz twego cierpienia, zaspakajało pragnienia mego serca: ale to źródło szczęścia stało się źródłem rozpaczyny od chwili, gdy ujrzałem łzy płynące z twych oczu, od czasu, gdy usłyszałem owo okrutne: „*Ach, ja nieszczęśliwa!*”. Pani, te dwa słowa dźwięczeń mi długo będą w sercu. Przez jakąż fatalność to najśłodsze z uczuć mogło obudzić w tobie jedynie zgrozę? Jakież widzisz powód do obawy? Ach, nie ten chyba, byś miała kiedy podzielić to uczucie: ty, pani, mimo iż łudziłem się dotąd w tej mierze, nie jesteś stworzona dla miłości; moje jedynie serce, które ty spotwarzasz bezustannie, zdolne jest do uczucia, twoje nawet litować się nie umie. Inaczej nie byłabyś odmówiła słowa pociechy nieszczęśliwemu, który zwierzył ci swe cierpienia; nie byłabyś odarła jego spojrzeń ze swego widoku, gdy on nie posiada innej rozkoszy niż słodycz twego obrazu; nie byłabyś sobie uczyniła okrutnej igraszki z jego niepokoju, byłabyś odczuła, że ta noc – dla ciebie jedynie dwanaście godzin spoczynku – miała być dla niego wiekiem cierpienia.

I czym, powiedz, zasłużyłem na tę bezlitosną surowość? Nie lękam się ciebie samej wziąć za sędziego: cóż więc uczyniłem? Prócz tego, iż niezależnie od mej woli uległem uczuciu natchnionemu przez twą piękność i cnotę; uczuciu, które nigdy nie przekroczyło granic szacunku, a którego niewinne

wyznanie było następstwem zaufania, nie zaś nadziei. Czyż chciałybyś, pani, zdradzić ufność, którą sama zdawałaś się upoważniać i której ja się oddałem bez zastrzeżeń? Nie, nie mogę uwierzyć; to znaczyłoby doszukiwać się w tobie błędu, a serce moje buntuje się na myśl znalezienia go w tobie. cofam wszystkie wyrzuty; mogłem to napisać, ale nie mogłem pomyśleć. Ach! Pozwól mi pani wierzyć, iż jesteś doskonałą! Oto jedyne szczęście, jakie mi pozostało. Czyż zdarzyło ci się kiedy użyć pomocy nieszczęśliwemu, który by jej bardziej potrzebował? Nie opuszczaj mnie w obłędzie, w jakim mnie pogrążyłaś: użyż mi swego rozumu, skoro wydarłaś mi własny; nawróć mi, oświeć jeszcze, aby dokończyć swego dzieła.

Nie chcę cię oszukiwać, pani: nie zdołasz dokonać tego, byś miała zwyciężyć mą miłość; ale nauczysz mnie panować nad nią: kierując mymi postępkami, dyktując słowa, ocalisz mnie przynajmniej od strasznego nieszczęścia obrażania ciebie. Racz przede wszystkim rozproszyc tę rozpacz pełną obawę; powiedz, że mi przebaczasz, że się litujesz; upewnij mnie o swym pobłażaniu. Nie będziesz go miała z pewnością nigdy tak wiele, ile ja bym pragnął; ale błagam o tyle bodaj, ile mi jest niezbędne do życia: czy i tego odmówisz?

Bądź zdrowa, pani; racz przyjąć z dobrocią ten hołd mych uczuć dla ciebie; nie jest zdolny w niczym osłabić mego bezgranicznego szacunku.

19 sierpnia 17**

List XXV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Oto przebieg wczorajszego dnia: o jedenastej udałem się do pani de Rosemonde i pod jej ochroną dostałem się do niby-chorej, która jeszcze spoczywała w łóżku. Oczy miała bardzo zmęczone; przypuszczam, że i ona źle spała tej nocy. Skorzystałem z tego, że pani de Rosemonde oddaliła się na chwilę, i podałem list; zrazu nie chciała przyjąć; ale położyłem na łóżku i poszedłem najniewinniej przysunąć fotel staruszki, która chciała umieścić się tuż koło *swej pieszczotki*; trzeba więc było ukryć list, aby uniknąć skandalu. Chora, bardzo nieostrożnie, napomknęła coś o gorączce. Pani de Rosemonde poleciła mi ująć ją za puls⁸², wysławiając wielce moje doświadczenie lekarskie. Panią de Tourvel spotkała więc podwójna przykrość: jedna, iż musiała powierzyć mi rękę, druga, iż drobne kłamstewko wyszło natychmiast na jaw. Ująłem dłoń, ściskając ją czule; równocześnie zaś, drugą ręką, ślizgałem się po świeżym i pulchnym ramieniu. Przebiegła ósóbka nie odpowiedziała na to wszystko najmniejszym znakiem życia, rzekłem więc, puszczając rękę: „Nie ma najłżejszego przyśpieszenia”. Czulem, iż minkę musi mieć bardzo surową, toteż za karę nie szukałem jej spojrzeń. W chwilę potem rzekła,

⁸² *puls* – tu: miejsce na ciele (najczęściej na przegubie dłoni), w którym wyczuwane są drgania wywołane krążeniem krwi. [przypis edytorski]

iz pragnie wstać, zostawiliśmy więc ją samą. Obiad upłynął dość niewesoło, po czym pani de Tourvel oświadczyła, iż nie pójdzie na przechadzkę, dając mi tym samym do zrozumienia, że nie będę miał sposobności z nią mówić. Uczułem, iż tu jest właściwy moment na westchnienie i wzrok przepętniony boleścią; widocznie spodziewała się tego, gdyż spojrzała na mnie; była to jedyna chwila w całym dniu, w której udało mi się spotkać jej oczy. Mimo całej cnoty i ona ma swoje sztuczki, jak każda. Znalazłem okazję, aby zapytać, czy *była na tyle łaskawą, by uwiadomić mnie o moim losie*; zdziwiłem się nieco, usłyszawszy: *Owszem, odpisałam panu*. Pilno mi było dobrać się do tej epistoły⁸³; ale czy to przez chytróść, czy przez niezręczność lub bojaźliwość, oddała mi ją dopiero wieczorem, w chwili rozstania. Posyłam ci, markizo, ten list, również jak brulion⁸⁴ mego; czytaj i sądz; widzisz, z jaką skończoną obłudą ta dama twierdzi, że mnie nie kocha, gdy z pewnością rzecz się ma wręcz przeciwnie; i jeszcze gotowa się żalić, jeśli ja ją będę oszukiwał *potem*, gdy ona nie waha się oszukiwać mnie już *przedtem*! Tak, piękna przyjaciółko, najprzebieglejszy mężczyzna jeszcze nie dorówna w fałszu najbardziej szczerzej kobiecie. Mimo to trzeba będzie udawać, iż wierzę tej całej gadaninie i odgrywać sceny rozpaczki, bo pani przyszła chętna bawić się w niezłomną cnotę! I jak tu się nie mścić za takie szelmostwa!... No! cierpliwości! ... Ale do widzenia. Mam jeszcze dużo do pisania.

⁸³ *epistola* – daw. list, przen. długi, nudny list. [przypis edytorski]

⁸⁴ *brulion* – tekst napisany na brudno. [przypis edytorski]

Ale, ale, nie zapomnij odesłać mi listu mojej tyranki; kto wie? mogłaby w przyszłości przywiązywać wagę do takich głupstewek; chcę być, na wszelki wypadek, w porządku.

Nie piszę nic w kwestii małej Volanges; pomówimy przy najbliższej sposobności.

Zamek ***, 20 sierpnia 17**

List XXVI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Może pan być pewny, iż nie otrzymałby pan żadnej odpowiedzi, gdyby moje niemądre zachowanie wczoraj wieczorem nie zmuszało mnie do paru wyjaśnień. Tak jest, płakałam, przyznaję: może również i te dwa słowa, które pan przytaczasz z taką skwapliwością, wymknęły mi się z ust; widzę, że nic nie uszło pańskiej bacznosci; trzeba więc wszystko wytłumaczyć.

Ponieważ przywykłam wzbudzać tylko zacne i godziwe uczucia, brać udział jedynie w rozmowach, których mogę słuchać bez rumieńca, słowem, cieszyć się bezpieczeństwem, na które zasługuję, nie umiem ani udawać, ani też ukrywać wrażeń. Zdumienie i pomieszanie wywołane pańskim zachowaniem, jakiś niezrozumiały lęk spowodowany sytuacją, w jakiej nie powinnam się była nigdy znaleźć, być może wzburzenie, iż widzę się zrównaną z owymi kobietami, którymi pan pogardzasz

i traktowaną przezeń w równie lekki sposób – oto, co było powodem łez i wydarło mi z ust słowa skargi. Wyrażenie, które wydało się panu tak silnym, byłoby z pewnością o wiele jeszcze za słabe, gdyby mój płacz i wykrzyknik miały jeszcze inną pobudkę; gdybym zamiast potępiać pańskie obrażające uczucia, mogła się lękać, iż kiedykolwiek będę zdolna je podzielić.

Nie, panie, nie mam tej obawy; gdybym ją miała, uciekłabym o sto mil; udałabym się na pustynię, aby tam płakać nad nieszczęściem, iż spotkałam pana na mej drodze. Może nawet, mimo całej pewności, że pana nie kocham, że go nigdy nie pokocham, może byłabym lepiej uczyniła, idąc za radą przyjaciół i nie pozwalając nawet przybliżyć się do siebie.

Uwierzyłam, to moja jedyna wina, uwierzyłam, że pan potrafi uszanować uczciwą kobietę, która najszczerzej pragnęła i pana również uważać za uczciwego człowieka; która stawiała nawet w pańskiej obronie, podczas gdy pan znieważałeś ją przez swe zbrodnicze zamiary. Pan mnie nie zna; nie, panie, pan mnie nie zna. Inaczej nie przyszłoby panu na myśl brnąć z jednego zuchwalstwa w drugie. Stąd, iż ośmieliłeś się mówić rzeczy, których nie powinnam słuchać, uczułeś się w prawie napisania listu, którego nie powinna bym czytać: i po tym wszystkim prosisz, abym *kierowała twymi postępami, dyktowała słowa!* Dobrze więc, stanie się, jak pan żąda; milczenie i niepamięć, oto rady, jakich mnie przystoi udzielić, panu usłuchać; wówczas będziesz miał w istocie prawa do mojego pobłażania: od pana zależałoby jedynie zdobyć sobie prawa do mej wdzięczności...

Ale nie, nie zwrócę się z prośbą do tego, który mnie nie uszanował: nie dam dowodu ufności człowiekowi, który nadużył mego bezpieczeństwa. Zniewalasz mnie pan, bym się go musiała obawiać, może nawet nienawidzić: nie chciałam tego; pragnęłam widzieć w panu jedynie siostrzeńca mej najczcigodniejszej przyjaciółki; przeciwstawiałam głos przyjaźni głosowi ogółu, który pana oskarżał. Zniszczyłeś wszystko; i – przewiduję to – nie będziesz chciał niczego naprawić.

Poprzestaję na tym, aby oznajmić panu, że jego uczucia obrażają mnie, że ich wyznanie jest dla mnie zniewagą. Nie tylko nie zdobędziesz wzajemności, ale jeśli sobie nie nakazesz milczenia, którego, sądzę, mam prawo oczekiwać, a nawet wymagać od pana, zmusisz mnie, abym pana nigdy nie oglądała na oczy. Dołączam do tego pisma pański list w nadziei, że i pan również zechcesz mi zwrócić mój własny; byłoby dla mnie wielką przykrością, gdyby pozostał jakikolwiek ślad wydarzenia, które nigdy nie powinno było mieć miejsca.

19 sierpnia 17**

List XXVII

Cecylia Volanges do markizy de Merteuil

Mój Boże, jaka pani dobra! Jak pani dobrze odczuła, że łatwiej mi będzie pisać niż mówić! Bo też to, co mam pani powiedzieć, bardzo ciężko wyznać: ale przecież pani jest moją

przyjaciółką, prawda? Och, tak, ukochaną przyjaciółką! Będę się starała nie bać; mnie tak trudno dać sobie rady bez pani, bez pani wskazówek! Bardzo mi ciężko, zdaje mi się, że każdy od razu pozna po mnie, co myślę: zwłaszcza kiedy on jest, czerwienię się zaraz, jak tylko kto spojrzy na mnie. Wczoraj, kiedy pani widziała, że płakałam, to z tego, że chciałam coś pani powiedzieć, a potem nie mogłam wydobyć słowa, i kiedy pani spytała, co mi jest, łzy mi same jakoś napłynęły do oczu. Nie umiałam po prostu zapanować nad sobą. Żeby nie pani, mama byłaby wszystko spostrzegła i co by się wówczas stało ze mną? Oto jakie jest teraz moje życie, zwłaszcza od czterech dni!

Całe cztery dni upłynęło już, tak, wszystko muszę pani powiedzieć, od czasu jak pan kawaler do mnie napisał. Och, zaręczam pani, że kiedy znalazłam jego list, zupełnie nie wiedziałam, co to takiego! Ale żeby już nic nie skłamać, nie mogę się zaprzeczyć, że strasznie mi się przyjemnie zrobiło, kiedy czytała; widzi pani, wołałabym już mieć zmartwienie przez całe życie, niż żeby on nie był do mnie napisał. Wiedziałam dobrze, że nie powinnam mu tego powiedzieć, mogę pani zaręczyć nawet, powiedziałam, że jestem bardzo rozgniewana; ale on mówi, że to było ponad jego siły i ja to bardzo rozumiem; bo i ja postanowiłam sobie, że mu nie odpowiem, a i tak nie mogłam się powstrzymać i odpowiedziałam. Och, tylko raz napisałam do niego i to nawet głównie po to, żeby mu powiedzieć, żeby już nie pisał: ale mimo to on ciągle pisuje; a że ja mu nie odpowiadam, widzę, że jest taki smutny, a mnie to martwi jeszcze bardziej:

tak że nie wiem już, co robić, ani jak postępować, i doprawdy jestem bardzo biedna.

Niech mi pani powie, proszę pani, czy to bardzo byłoby źle, żeby mu odpisać od czasu do czasu? Tylko dopóty, aż on potrafi przemoc na sobie, żeby nie pisać więcej i zostać tak, jak byliśmy przedtem: bo, co do mnie, jak tak dalej będzie, to nie wiem, co się ze mną stanie. O, kiedyś czytała ostatni list, tom płakała, płakała tak, że się nie mogła uspokoić; jestem pewniutka, że jeżeli mu jeszcze teraz nie odpowiem, znowu będziemy mieli masę zmartwienia.

Poślę pani jego list albo odpis i niech pani osądzi: zobaczy pani, że to naprawdę nic złego, o co on prosi. Jednakże jeżeli pani się będzie wydawać, że nie trzeba, to przyrzekam pani, że się powstrzymam; ale pewna jestem, że pani będzie myślała tak jak ja, że w tym nie ma nic złego.

Kiedy już o tym mówimy, niech mi pani pozwoli zadać jeszcze jedno pytanie: mówiono mi, że to źle, żeby kogoś kochać; ale dlaczego? Dlatego się pani pytam, bo kawaler Danceny utrzymuje, że w tym wcale nie ma nic złego i że prawie wszyscy kogoś kochają; gdyby tak było w istocie, nie wiem, czemu ja jedna miałabym sobie zabraniać: lub też, może to jest co złego tylko u panien? Bo przecież słyszałam, jak mama sama mówiła, że pani de D... kocha pana M... i nie mówiła o tym jak o czymś bardzo niedobrym; a przecież pewna jestem, że pogniewałaby się na mnie, gdyby choć trochę domyślała się mojej przyjaźni dla pana Danceny. Mama uważa mnie zawsze za dziecko i o niczym

ze mną nie mówi. Myślałam, kiedy mnie odbierała z klasztoru, że to po to, aby mnie wydać za męż; ale teraz wydaje mi się, że nie: nie żeby mi chodziło o to, zaręczam pani; ale pani, która jest z nią w takiej przyjaźni, może pani wie, jak jest naprawdę; jeżeli pani wie, mam nadzieję, że mi pani powie.

To dopiero długi list mi się napisał: ale skoro pani pozwala pisać do siebie, skorzystam z tego, aby powiedzieć wszystko, i liczę na pani przyjaźń.

Mam zaszczyt pozostać, etc.

Paryż, 23 sierpnia 17**

List XXVIII

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

Jak to, panno Cecylio, czyż zawsze wzdraga się pani odpowiedzieć! Nic więc nie zdoła pani ugiąć? Każdy dzień unosi z sobą nadzieję, jaka mi zaświtała z jego brzaskiem? Cóż więc warta nasza przyjaźń, której nie zaprziesz się chyba, jeżeli nie posiada dość siły, by cię uczynić tkliwą na moją niedolę; jeżeli ci pozwala zostać spokojną i chłodną, podczas gdy ja cierpię wszystkie męczarnie nieugaszonych płomieni; jeżeli nie tylko nie zdoła obudzić w tobie zaufania, lecz nie wystarcza nawet, aby cię natchnąć odrobiną litości? Jak to, przyjaciel cierpi i ty nie czynisz nic, aby mu dopomóc! Błaga o jedno słowo tylko i ty mu go odmawiasz! Chcesz, aby zadowolił się uczuciem tak wątplym,

o którym obawiasz się nawet upewnić go powtórnie!

Nie chciałaś być niewdzięczną, mówiłaś pani wczoraj. Ach, wierzaj mi, pani, chcieć płacić miłość przyjaźnią, to nie znaczy obawiać się niewdzięczności, to znaczy jedynie obawiać się jej pozoru. Mimo to, nie śmiem dłużej mówić o uczuciu, które, skoro pani go nie dzieli, może być dla niej jedynie ciężarem; trzeba mi je za jaką bądź cenę zamknąć w samym sobie, czekając, aż je pokonam. Czuję, jak bardzo praca ta będzie uciążliwą; nie taję⁸⁵, że będę potrzebował wszystkich sił moich w tym celu; ucieknę się do wszelkich środków: jest między nimi jeden, który najcięższym będzie dla mego serca, mianowicie przypominać sobie często, że twoje jest dla mnie z głazu. Spróbuję nawet rzadziej panią widywać; już myślę nad tym, aby znaleźć jakąś stosowną wymówkę.

Jak to! Miałbym wyrzec się słodkiego nałogu codziennego widywania pani! Ach, jedno jest pewne, że nigdy nie przestanę boleć nad tą stratą. Wieczysta niedola będzie nagrodą najtkliwszej w świecie miłości; tyś sama tak chciała, to twoje dzieło! Nigdy, czuję to, nie odnajdę szczęścia, które dzisiaj tracę; ty jedna byłaś stworzona dla mego serca; z jakąż rozkoszą uczyniłbym ślub, że będę żył jedynie dla ciebie! Ale ty nie chcesz przyjąć tego ślubu; milczenie twoje przekonuje mnie dostatecznie, że serce twoje nic za mną nie przemawia; milczenie to jest zarazem i najpewniejszym dowodem obojętności, i najokrutniejszym sposobem jej okazania. Żegnaj więc panią.

⁸⁵ *taić* – ukrywać, zatajać. [przypis edytorski]

Nie śmiej się już ludzię nadzieją odpowiedzi; miłość byłaby ją skreśliła z zapalem, przyjaźń z życzliwością, litość nawet z wyrozumieniem: ale litość, przyjaźń i miłość zarówno są obce twojemu, pani, sercu.

Paryż, 23 sierpnia 17**

List XXIX

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Dobrze mówiłam, Zosiu, są wypadki, w których można pisywać; i bardzo sobie dziś wyrzucam, że poszła za twoją radą, która sprawiła nam tyle zgryzoty. Musiałam chyba mieć słusność, kiedy pani de Merteuil, osoba, która z pewnością wie dobrze, co trzeba, a co nie, sama wreszcie doszła do tego samego przekonania. Ze wszystkim się jej zwierzyłam. Z początku powiedziała to, co i ty: ale kiedy wszystko dobrze wytłumaczyłam, przyznała, że to zupełnie co innego; żąda tylko, abym jej pokazywała wszystkie nasze listy, aby być pewną, że nie napiszę nic, czego nie trzeba; toteż jestem już całkiem spokojna. Mój Boże, jak ja kocham panią de Merteuil! Jaka ona dobra! A to jest kobieta ze wszech miar szanowna. Teraz więc wszystko jest bez zarzutu.

Dopieroż teraz będę pisała do pana Dancenya, a on jaki będzie szczęśliwy! Jeszcze więcej niż sam przypuszcza: bo dotąd mówiłam mu tylko o przyjaźni, a on zawsze chciał o miłości.

Myślałam, że to jedno i to samo: ale jakoś nie śmiałam i jemu było przykro. Powiedziałam to pani de Merteuil; rzekła, że miałam słuszość i że nie trzeba przyznawać, że się kocha kogoś, dopiero wtedy, jak już się nie można wstrzymać; otóż ja pewna jestem, że już nie będę się mogła wstrzymać; ostatecznie, to jedno i to samo, a jemu będzie przyjemniej.

Pani de Merteuil powiedziała także, że mi pożyczy książek, w których mowa jest o tym wszystkim i z których nauczę się, jak postępować i także nauczę się pisać lepiej niż teraz. Widzisz, ona mi wytyka wszystkie braki; to najlepszy dowód, że mnie bardzo kocha. Zaleciła tylko, żeby nic mamie nie mówić o tych książkach, bo by to wyglądało jakby na wymówkę, że mama zaniedbała moje wykształcenie i to by mogło ją zmartwić. Och, ani słóweczka nie pisnę!

To jednak szczególne, żeby osoba, która ledwo że jest moją krewną, więcej troszczyła się o mnie niż rodzona matka! Co za szczęście dla mnie, że ją spotkałam!

Poprosiła także mamę, żeby pozwoliła wziąć mnie pojutrze do Opery, do jej łoży; powiedziała mi, że będziemy zupełnie same i będziemy sobie rozmawiały cały czas, bez obawy, żeby kto usłyszał: wolę to jeszcze o wiele niż Operę. Pomówimy także o moim małżeństwie: bo powiedziała, że to prawda, że mam iść za męża; ale nie mogłyśmy o tym dłużej porozmawiać. Doprawdy, czy to nie dziwne, że mama nie mówi ze mną o tym ani słowa?

Do widzenia, Zosieńko, muszę pisać do kawalera Danceny! Ach, jakam ja teraz szczęśliwa!

24 sierpnia 17**

List XXX

Cecylia Volanges do kawalera Danceny

Zatem, panie kawalerze, godzę się napisać do pana, upewnić go o mej przyjaźni, o *miłości*, skoro inaczej miałby pan być nieszczęśliwy. Mówi pan, że ja nie mam dobrego serca: zaręczam z pewnością, że pan się myli i spodziewam się, że teraz już pan nie wątpi. Jeżeli pan się martwił, że ja nie pisałam do pana, czy myśli pan, że i mnie nie było z tym ciężko? Ale bo też za żadne skarby świata nie chciałabym zrobić coś, co nie trzeba: z pewnością nawet nie byłabym się przyznała do mej miłości, gdybym się mogła powstrzymać; ale zanadto mi przykro patrzeć, jak pan jest smutny. Mam nadzieję, że teraz już pan nigdy nie będzie taki i że będziemy bardzo szczęśliwi.

Spodziewam się, że pana ujrzę dziś wieczorem i że pan przyjdzie wcześniej: nigdy tak wcześniej, jak ja bym pragnęła. Mama spędza wieczór w domu i pewno pana będzie chciała zatrzymać; mam nadzieję, że pan nie będzie zaproszony gdzie indziej, tak jak przedwczoraj. Musiała być bardzo przyjemna ta kolacja, na którą pan poszedł? Jakoś strasznie się panu śpieszyło? Ale nie mówmy już o tym: teraz, kiedy pan wie, że go kocham, mam nadzieję, że będzie się pan starał być ze mną tyle, ile tylko się da; co do mnie, jest mi dobrze tylko wtedy, kiedy jestem

z panem i chciałabym bardzo, aby i panu było tak samo.

Bardzo zmartwiona jestem, że pan jest jeszcze smutny w tej chwili, ale to nie z mojej winy. Poproszę pana o harfę zaraz, jak tylko pan przyjdzie, żeby pan dostał mój list jak najprędzej. Więcej już nie mogę zrobić.

Do widzenia panu. Kocham pana bardzo, z całego serca: im częściej to powtarzam, tym więcej rada jestem; mam nadzieję, że i pan także.

24 sierpnia 17**

List XXXI

Kawaler Danceny do Cecylii Volanges

O tak, z pewnością, pani, będziemy szczęśliwi. Moje szczęście jest pewne, skoro posiadam twe serce; twoje nie skończy się nigdy, jeżeli ma trwać tak długo jak miłość, którą mnie natchnęłaś! Jak to! Kochasz mnie, nie wzdragasz się już upewnić mnie o *swjej miłości!* *Im częściej mi to powtarzasz, tym więcej rada jesteś!* Gdy przeczytałem to czarujące: *kocham pana*, napisane twoją ręką, zdawało mi się, że słyszę twoje cudne usta, jak powtarzają mi to wyznanie. Ujrzałem zwrócone ku mnie te niebiańskie oczy, upiększone jeszcze wyrazem czułości. Usłyszałem zakłęcie, iż żyć pragniesz jedynie dla mnie. Och, przyjm i moje śluby, iż życie całe poświęcę twemu szczęściu; przyjm je i bądź pewna, że nie sprzeniewierzę się im nigdy!

Jakież szczęśliwy dzień spędziliśmy wczoraj! Ach! Czemuż pani de Merteuil nie co dzień ma jakieś tajemnice z twoją matką? Czemuż trzeba, aby myśl o tym skrępowaniu, jakie nas czeka, musiała się mieszać do czarujących wspomnień, przepelniających mą duszę? Czemuż nie mogę bez przerwy pieścić drobnej rączki, która mi napisała: „kocham pana!”, okrywać jej pocałunkami i mścić się w ten sposób za odmowę, jakiej doznałem, gdym sięgnął po większą jeszcze łaskę!

Powiedz, Cesi uobóstwiana, skoro mama wróciła do pokoju, kiedy byliśmy zmuszeni, wskutek jej obecności, zwracać na siebie jedynie obojętne spojrzenia, kiedy nie mogłaś mnie już pocieszać zapewnieniami miłości po odmowie, jakiej doznałem, gdy zapragnąłem od ciebie żywszego uczuć dowodu, czy nie uczułaś w sercu żalu? Czy nie powiedziałaś sobie: ten pocałunek uczyniłby go jeszcze szczęśliwszym, i to ja pozbawiłam go tego szczęścia! Przyrzeknij, uobóstwiana, że przy najbliższym widzeniu nie będziesz już taka surowa. Dzięki tej obietnicy znajdę odwagę znoszenia przeciwności, jakie gotują nam losy; chwile okrutnej rozłąki mniej będą mi bolesne, jeśli będę miał pewność, że i ty dzielisz me żale.

Do widzenia, Cesi urocza; nadchodzi pora, w której mam udać się do waszego domu. Niepodobieństwem byłoby mi rozstać się z tobą, gdyby to nie było po to, aby oglądać ciebie samą. Do widzenia, ukochana, teraz, zawsze i na wieki.

25 sierpnia 17**

List XXXII

Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel

Żądasz zatem, dobra przyjaciółko, abym uwierzyła w cnotę pana de Valmont? Wyznaję, nie mogę się na to odważyć, i równie trudno by mi było uznać go pocziwym na podstawie jednego faktu, jak dla jednego błędu potępić jako zbrodniarza człowieka znanego z zacności. Ludzkość nie jest doskonała w żadnym kierunku, ani w złym, ani w dobrym. Zbrodniarz ma swoje cnoty, uczciwy człowiek swoje słabości. Prawda ta wydaje mi się tym godniejszą pamięci, ile że z niej właśnie płynie potrzeba wyrozumienia tak dla złych, jak też i dla dobrych; ona to winna chronić jednych od pychy, drugich od zrozwyczajenia o sobie. Pomyślisz zapewne, że ja w tej chwili bardzo niedoskonale stosuję tę pobłażliwość, której zasady wyznaję; ale bo też cnota ta staje się w mych oczach jedynie niebezpieczną słabością, kiedy prowadzi nas do tego, aby jednaką miarą mierzyć niegodziwca i pocziwego człowieka.

Nie pozwolę sobie z pewnością na dociekanie pobudek postępków pana de Valmont; chcę wierzyć, iż są nie mniej chwalebne od samego uczynku: ale czyż to zmienia fakt, iż strawił życie na tym, aby szerzyć wśród rodzin niepokój, hańbę i zgorszenie? Słuchaj, jeżeli chcesz, głosu nieszczęśliwego, którego on wspomógł; ale niech ci ten głos nie przeszkadza słyszeć jęków stu ofiar, które pognębił. Choćby pan de Valmont

był, jak powiadasz, jedynie przykładem niebezpieczeństwa złych wpływów, to czyż, na odwrót, jego wpływ nie jest co najmniej równie niebezpieczny? Przypuszczasz, droga, że on może być zdolnym do szczęśliwego nawrócenia? Idźmy jeszcze dalej; przypuśćmy nawet, że ten cud nastąpił. Czy nie zostaje jeszcze zawsze przeciw niemu wyrok opinii publicznej i czy sam wyrok ów nie wystarcza, aby wytyczyć twoje postępowanie? Bóg jeden może odpuścić winy za chwilę skruchy; on czyta w sercach; ale ludzie mogą sądzić myśli jedynie na podstawie uczynków; i nikt, postradawszy szacunek drugich, nie ma prawa skarżyć się na nieufność, jaka go spotyka. Pomyśl zwłaszcza, moja młoda przyjaciółko, że nieraz do utraty tego szacunku wystarcza, że ktoś nie dość ceny⁸⁶ zdaje się doń⁸⁷ przywiązywać. Nie nazywaj tego surowego prawidła niesprawiedliwością; prócz tego bowiem, że ludzie mają powód mniemać, iż nie wyrzeka się tego cennego dobra ktoś, kto ma do niego pełne prawo, niewątpliwym jest, że z większą łatwością może ulec złemu ten, komu nie stanie za zaporę ów potężny hamulec. W takim zaś świetle postawiłoby cię zbliżenie z panem de Valmont, chociażby samo przez się najniewinniejsze.

Przestraszona zapałem, z jakim występujesz w jego obronie, spieszę uprzedzić możliwe zarzuty. Przytaczasz panią de Merteuil, której świat zdołał wybaczyć tę przyjaźń; zapytasz, czemu go przyjmuję w swym domu; powiesz, iż pana de

⁸⁶ *cena* – tu: waga, znaczenie, szacunek. [przypis edytorski]

⁸⁷ *doń* – skrócone: do niego. [przypis edytorski]

Valmont nie tylko nie wykluczono z grona uczciwych ludzi, ale przeciwnie, jest mile widziany, poszukiwany nawet w całym tak zwanym dobrym towarzystwie. Sądzę, że mogę odpowiedzieć na wszystko.

Przede wszystkim pani de Merteuil, w istocie osoba ze wszech miar godna szacunku, posiada może jedną jedyną wadę, mianowicie zbytnią ufność w swoje siły; jest to zręczny sternik, któremu sprawia przyjemność prowadzić łódź pośród skał i wirów. Dobry wynik starczy za usprawiedliwienie tej śmiałości: ale o ile słusznie można ją podziwiać, o tyle byłoby nieroztropnie wstępować w jej ślady; ona sama to przyznaje i wini się o tę słabostkę. Im dłużej obraca się w świecie i patrzy nań, tym zasady jej stają się surowsze: i nie waham się zaręczyć, że przychyliłaby się do mego poglądu.

Co się mnie tyczy, nie będę się uniewinniała. Istotnie, przyjmuję pana de Valmont jak wszyscy: jedna niekonsekwencja więcej pośród tysiąca innych. Wiesz dobrze, jak i ja, że życie splota się na tym, aby je widzieć, narzekać na nie i poddawać się! Pan de Valmont, przy pięknym nazwisku, dużym majątku i wielu ujmujących zaletach, zrozumiał bardzo rychło, że aby stać się panem otoczenia, wystarczy posługiwać się zręcznie pochlebstwem i szyderstwem. Nikt nie posiada w tym co on stopniu tego podwójnego talentu: jednym zdobywa sobie ludzi, dzięki drugiemu umie wzbudzać postrach. Nikt go nie szanuje, ale wszyscy się z nim liczą. Oto jego rola wśród świata, który, z większą ostrożnością niż odwagą, woli oszczędzać go niż

otwarcie stanąć przeciw niemu.

Ale to pewna, że ani sama pani de Merteuil, ani żadna inna nie odważyłaby się zakopać gdzieś na wsi, prawie sam na sam z człowiekiem tego pokroju. I oto właśnie najcnotliwsza, najskromniejsza ze wszystkich daje przykład tej niewłaściwości, wybaczone, proszę, to słowo, ale wydarło się ono z ust przyjaźni. Wierzaj, droga przyjaciółko, właśnie twoja nieskazitelność zwraca się przeciw tobie, wpajając ci uczucie zwodnego bezpieczeństwa. Pomyśl więc, że będziesz miała za sędziów z jednej strony ludzi lekkich, i ci nie będą zdolni uwierzyć w cnotę, której przykładów nie widzą koło siebie; z drugiej złych, którzy będą udawać, iż nie wierzą. Pomyśl, że czynisz w tej chwili coś, na co nie każdy mężczyzna by się ważył. To pewna, że spośród młodych ludzi, między którymi pan de Valmont aż nadto umiał się stać wyrocznią, każdy stateczniejszy strzegłby się pozorów zbyt ścisłej z nim zażyłości; a ty nie obawiasz się tego! Ach! cofnij się, cofnij, zaklinam... Jeśli moje wywody nie wystarczyły, aby cię przekonać, ustąp mojej przyjaźni; ona to każe mi ponawiać przestrogi, ona niechaj starczy za usprawiedliwienie. Znajdujesz mnie zbyt surową; chciałabym, aby surowość ta była zbytęcną; ale wolę, byś się miała użalać na mą zbytnią gorliwość niżli na opieszałość.

24 sierpnia 17**

List XXXIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Z chwilą kiedy obawiasz się dojść do celu, drogi wicehrabio, z chwilą gdy twoim zamiarem jest dostarczyć broni przeciw sobie i nie tyle pragniesz zwyciężyć, ile walczyć, nie mam już nic do powiedzenia. Postępowanie twoje jest arcydziełem roztropności. Byłoby arcydziełem głupstwa w razie odwrotnego przypuszczenia; i jeżeli mam być szczerą, obawiam się, że ulegasz złudzeniom w tej mierze.

Nie to ci wyrzucam, że nie skorzystałeś z chwili. Z jednej strony, nie jest mi wcale jasnym, czy ta chwila nadeszła: z drugiej, wiem dobrze, że – wbrew przysłowiu – utraconą sposobność zawsze się da odzyskać, podczas gdy wszystko można zepsuć przedwczesnym pośpiechem.

Ale czynem istotnie godnym uczniaka jest to, iż puściłeś się na pisanie. Zechciej się tylko zastanowić, dokąd to zaprowadzi? Masz może nadzieję przekonać na drodze argumentacji tę kobietę, iż powinna się oddać? Zdaje mi się, że taką prawdę można jedynie odczuć, nie dowieść jej, i że aby ją kobiecie narzucić, jedyną drogą jest wzruszyć ją, nie zaś rezonować⁸⁸: lecz i na cóż by się zdało, gdybyś ją i wzruszył swymi epistołami, skoro nie będzie cię w tej chwili na miejscu, aby

⁸⁸ *rezonować* – rozprawiać, przekonywać. [przypis edytorski]

z tego skorzystać? Choćby nawet twoje piękne frazesy zdołały nadprzyrodzoną mocą wprawić ją w miłosne upojenie, czy pochlebiasz sobie, iż starczy tej mocy na to, aby jeszcze przed wyznaniem nie przyszła chwila opamiętania? Pomyśl, ile czasu potrzeba na napisanie listu; ile go upływa, zanim dostanie się do rąk odbiorcy; i zastanów się, czy zwłaszcza kobieta z zasadami może hodować przez tak długi czas pokusę, którą stara się wszelkimi siłami zwalczać?

Ten sposób może być skutecznym u dzieci, które kiedy piszą: *kocham*, nie wiedzą, że tym samym mówią: *jestem twoja*. Ale rezonująca cnota pani de Tourvel zdaje się znać bardzo dobrze wartość i znaczenie wyrazów. Toteż mimo przewagi, jaką uzyskałeś nad nią w rozmowie, ona cię bije na głowę w swym liście. A potem, czy wiesz, co się dzieje? Przez to samo, że ktoś się spiera, nie chce ze swego ustąpić. Siłac się na wyszukanie argumentów, znajduje je wreszcie, wygłasza i później już upiera się przy nich, nie tyle dlatego, że są coś warte, ile aby nie przeczyć samemu sobie.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga, której dziwię się, iż sam sobie nie uczyniłeś. Nie ma nic równie trudnego w miłości, jak pisać w sposób dający złudzenie prawdopodobieństwa: czyniąc to na chłodno, używasz niby tych samych wyrażeń: ale nie układasz ich jakoś tak samo, a raczej układasz je i to już wystarczy. Odczytaj swój list: jest w nim jakiś porządek, jakiś ład, który zdradza cię w każdym zdaniu. Chcę przypuszczać, że prezydentowa zbyt mało jest wyrobiona, aby się na tym poznać: ale cóż stąd?

Wrażenie niemniej chybione. To wada wszystkich romansów: autor dobywa ostatniego tchu, aby się rozpalić, a czytelnik pozostaje zimny. Jedna *Heloiza* może stanowi wyjątek; toteż, mimo całego talentu autora, nigdy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tło tego romansu musi być prawdziwe. Całkiem co innego w rozmowie. Przyzwyczajenie modulowania głosu może dać jego brzmieniu akcenty uczucia: łatwość wylewania łez pomnaża jeszcze to wrażenie: wyraz pożądania miesza się w oczach z wyrazem tkliwości; mniejsza wreszcie ciągłość ustnej rozmowy łatwiej pozwala przybrać ów ton pomieszania i nieładu, które są prawdziwą wymową miłości: przede wszystkim zaś obecność kochanej osoby poraża zdolność zastanowienia i budzi w nas bezwiedną chęć uznania swej porażki.

Wierzaj mi, wicehrabio: żądam, abyś nie pisał więcej, skorzystaj z tego, aby naprawić błąd, i czekaj na sposobność rozmowy. Czy wiesz, że ta kobieta silniejsza jest niż przypuszczałam? Obrona wcale tęga: gdyby nie rozmiary listu i nie furtka, jaką zostawia, byś mógł powrócić do przedmiotu na temat niedokończonego zdania o *wdzięczności*, nie byłaby się zdradziła ani na chwilę.

Moim zdaniem, wiary w zwycięstwo powinno ci dodać to, że ona zużywa za wiele sił naraz: przewiduję, że wyczerpie je na walkę o *słowa* i że ich zbraknie na obronę *rzeczy*.

Odsyłam ci oba listy; jeżeli masz nieco zastanowienia, będą to ostatnie aż do szczęśliwego *nazajutrz*. Gdyby nie było tak późno, pomówiłabym z tobą o małej Volanges, która czyni dość

szybkie postępy: jestem z niej bardzo rada. Spodziewam się skończyć z nią jeszcze przed tobą, ku tym większemu twemu zawstydzeniu. Do widzenia na dzisiaj.

22 sierpnia 17*

List XXXIV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Mówisz wspaniale, piękna przyjaciółko: ale po co zadawać sobie tyle trudu, aby udowodnić coś, o czym nikt nie wątpi. Aby szybko iść naprzód, lepiej mówić niż pisać; to, jak sądzę, sens moralny całego twego listu. Ależ to są najelementarniejsze zasady sztuki uwodzenia! Pozwolę sobie tylko zauważyć, że ty dopuszczasz jeden tylko wyjątek od tej zasady, gdy tymczasem istnieją dwa. Do dzieci, które wstępują na tę drogę przez nieśmiałość, a wydają się na łup przez niewiedzę, trzeba dołączyć jeszcze kobiety-pięknoduszki, które dają się wciągnąć przez miłość własną i które próżność zapędza do pułapki. Tak na przykład jestem pewny, że gdy hrabina de B... odpowiedziała bez trudności na mój pierwszy list, nie kochała się wówczas we mnie ani trochę więcej niż ja w niej i chwyciła się jedynie sposobności porozprawiania na temat, w którym da się powiedzieć wiele ładnych rzeczy.

Jak bądź się rzeczy mają, mówiąc po adwokacku, kwestia zasad jest w tym przypadku zgoła bezprzedmiotową. Jak widzę,

przypuszczasz, że ja mam wolny wybór między pisaniem a rozmową: tak nie jest. Od czasu wypadku z dnia 19. okrutna piękność, obwarowana jak forteca, unika wszelkiej możliwości spotkania, i to ze zręcznością, wobec której moja staje się bezradną; do tego stopnia, że jeżeli to ma potrwać dłużej, będę zmuszony poważnie zastanowić się nad sposobami odzyskania straconej przewagi. Listy moje nawet stały się przedmiotem cichej wojny podjazdowej; nie dość, że nie odpowiada, ale wprost nie chce przyjmować. Za każdym razem trzeba uciekać się do nowego podstępu, a i to nie zawsze się udaje.

Przypominasz sobie, jak prostego sposobu użyłem przy pierwszym liście; z drugim również poszło gładko. Prosiła, bym zwrócił jej własny list: wręczyłem mój w jego miejsce, bez najmniejszego podejrzenia z jej strony. Ale czy to ze złości, że dała się oszukać, czy przez kaprys, czy też z pobudek cnoty (bo wreszcie zmusi mnie, abym uwierzył w cnotę!), stanowczo broniła się przed przyjęciem trzeciego. Mam nadzieję jednak, że przykre położenie, w jakim omal się nie znalazła w następstwie tej odmowy, poprawi ją na przyszłość.

Nie bardzo mnie dziwiło, że nie chce przyjąć tego listu, który próbowałem jej wręczyć całkiem po prostu; byłoby to już pewnym ustępstwem z jej strony; ja zaś byłem przygotowany na długą walkę. Po tym usiłowaniu, które zresztą było jedynie mimochodem uczynioną próbą, włożyłem list w kopertę i wybrawszy chwilę, kiedy pani de Rosemonde i panna służąca znajdowały się w jej pokoju, posłałem go przez strzelca, każąc

oznajmić, że są to papiery, o które mnie prosiła. Zgadłem dobrze, że w obawie przykrych wyjaśnień nie zdobędzie się, aby wprost odrzucić zuchwałą przesyłkę; w istocie, wzięła list, a wysłannik mój, który miał rozkaz śledzić wyraz jej twarzy (umie zaś spostrzegać wcale bystro), zauważył jedynie lekki rumieniec i więcej zakłopotania niż gniewu.

Tryumfowałem zatem, pewny, że albo zachowa list, albo też, jeżeli zechce go zwrócić, będzie musiała znaleźć się ze mną sam na sam. Jakoż w niespełną godzinę służący wchodzi do mego pokoju i oddaje zwitek, na którego kopercie poznaję upragnione pismo. Otwieram z pośpiechem... Mój własny list, nieotwarty i złożony we dwoje!

Znasz mnie, markizo; nie potrzebuję ci zatem malować mej wściekłości. Trzeba jednak było przywołać na pomoc całą zimną krew i szukać nowych sposobów. Oto jedyny, jaki znalazłem.

Codziennie rano posyła się stąd po listy na pocztę odległą o trzy ćwierci mili. Do tego celu służy zamknięta puszka, od której poczmistrz ma jeden klucz, pani zaś de Rosemonde drugi. Każdy wrzuca do niej listy, kiedy mu się podoba; ktoś ze służby niesie je na pocztę, rano zaś odbiera te, które przybyły. Cała służba, tutejsza czy obca, wypełnia ten obowiązek kolejno. Nie była to wprawdzie kolej mego służącego; mimo to podjął się iść pod pozorem, że ma coś do załatwienia w tej stronie.

Zabrałem się tedy do mej epistoły. Zmieniłem charakter pisma na adresie i podrobiłem wcale niezłe na kopercie

pieczętkę z Dijon⁸⁹. Obrąłem to miasto, ponieważ bawiło mnie, skoro ubiegam się o te same prawa co mąż, pisać z tego samego miejsca, a także ponieważ dama kładła nam przez cały tydzień w uszy, iż pragnęłaby bardzo mieć wiadomości z Dijon. Uważałem za rzecz sprawiedliwą dostarczyć jej tej przyjemności.

Uporawszy się z wszystkimi ostrożnościami, bez trudności zdołałem wmieszać list pomiędzy inne. Zyskiwałem na tym sposobie i to, że mogłem być świadkiem doręczenia: obyczaj bowiem tutejszy każe zbierać się na śniadanie i następnie oczekiwać wspólnie poczty. Wreszcie nadeszła. Pani de Rosemonde otworzyła skrzynkę. „Z Dijon”, rzekła, oddając list pani de Tourvel. – „To nie pismo męża” odparła głosem pełnym niepokoju, żywo rozrywając pieczętkę. Pierwszy rzut oka objaśnił wszystko; wyraz takiego pomieszania odmalował się na jej twarzy, że pani de Rosemonde spostrzegła to i rzekła: „Co tobie, dziecko?”. Zbliżyłem się również, mówiąc: „Musi być chyba coś bardzo strasznego w tym liście?”. Skromnisia nie śmiała oczu podnieść, nie wyrzekła słowa, i aby pokryć zakłopotanie, udawała, że przebiega oczami list, którego czytać nie była zdolną. Cieszyłem się jej pomieszaniem i dość zadowolony, iż mogę się z nią podrażnić, dodałem: „Uspokoila się pani trochę: wolno przypuszczać, iż list ten sprawił więcej zdziwienia niż przykrości”. Wówczas gniew natchnął ją lepiej, niżby to mogła uczynić rozważa. „List ten – rzekła – zawiera

⁸⁹ *Dijon* – miasto we Francji w rejonie Burgundii. [przypis edytorski]

rzeczy, które są dla mnie obrażą, i dziwię się, że ktoś ośmielił się go do mnie napisać”. – „Któż taki?” – przerwała pani de Rosemonde. – „Nie jest podpisany – odparła – ale i list, i autor budzą we mnie jednakową wzdgarę i bardzo bym pragnęła nie słyszeć o nich więcej”. Mówiąc te słowa, przedarła zuchwałe pismo, schowała kawałki do kieszeni, wstała i wyszła.

Mimo tego gniewu, bądź co bądź, odebrała list, a polegam już na jej ciekawości, że go sumiennie przeczyta od deski do deski.

Dalsze szczegóły dnia zaprowadziłyby mnie zbyt daleko. Łączę do tego opisu brulion listów; w ten sposób będziesz mogła zdać sobie sprawę ze wszystkiego. Jeżeli pragniesz, markizo, śledzić przebieg korespondencji, musisz się przyzwyczaić odcyfrowywać moje gryzmoły: za żadne skarby świata nie zdobyłbym się na nudę przepisywania. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

25 sierpnia 17**

List XXXV

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Trzeba ci być posłusznym, pani; trzeba dowieść, że pośród tylu błędów, których podoba ci się we mnie doszukiwać, zostało mi przynajmniej dość delikatności, bym sobie nie pozwolił na żadne wyrzuty i dość siły woli, bym umiał sobie nałożyć najcięższe ofiary. Zalecasz milczenie i niepamięć!

Dobrze więc! Nakazę mej miłości, ażeby zamilkła; zapomnę, jeśli możebna, okrutny sposób, w jaki przyjęłaś jej wyznanie. Podoba ci się, pani, patrzeć na mą miłość jak na zniewagę; zapominasz, że gdyby mogła być winą, ty byłabyś zarazem tej winy przyczyną i usprawiedliwieniem. Zapominasz również, iż mnie, przyzwyczajonemu otwierać ci mą duszę nawet wówczas, kiedy ta ufność mogła mi zaszkodzić w twych oczach, niepodobieństwem było ukryć przed tobą uczucia przepelniające me serce. Na to, co było dziełem dobrej wiary, ty, pani, patrzysz jako na owoc zuchwalstwa. W nagrodę najczulszej, najbardziej pełnej szacunku, najszczerzej miłości, odtrącasz mnie daleko od siebie. Mówisz w końcu o swej nienawiści... Któż inny nie skarżyłby się na moim miejscu, gdyby się z nim obchodzono w ten sposób? Ja jeden poddaję się; cierpię wszystko i nie szemram; ty wymierzasz cios, ja ubóstwiam rękę, która go zadała. Niepojęta władza, jaką posiadasz nade mną, czyni cię wszechmocną panią mych uczuć; jeśli miłość moja ci się opiera, jeśli nie zdołasz jej zniweczyć, to dlatego, że twoim jest dziełem, nie moim.

Nie żądam bynajmniej wzajemności, którą się nigdy nie ludziłem. Nie oczekuję nawet tej litości, której nadzieję mogłaby we mnie obudzić okazywana mi niekiedy sympatia. Ale mniemam, przyznaję, że mam prawo odwołać się do twej sprawiedliwości.

Mówi pani, że próbowano mi szkodzić w twej opinii. Gdybyś słuchała rady przyjaciół, nie byłabyś mi pozwoliła

nawet zbliżyć się do siebie: oto twoje słowa. I któż są owi tak gorliwi przyjaciele? Ludzie pojęć tak surowych, cnoty tak nieskazitelnej, zgodzą się z pewnością, aby ich wymienić; nie pragną chyba okrywać się tajemnicą, która by ich stawiała w rzędzie nikkzemnych potwarców; toteż mniemam, będzie mi wolno dowiedzieć się, kto oni są i co mi zarzucają. Zrozum pani, mam prawo do tego, skoro na tej podstawie opiera się twój wyrok. Nie skazuje się winnego, nie wymieniając mu jego występku, ani też imion oskarżycieli. Nie żądam innej łaski i z góry zobowiązuję się usprawiedliwić, zmusić ich, by odwołali zarzuty.

Jeśli zanadto może gardziłem w życiu czczymi⁹⁰ sądami gawiedzi, inaczej mają się rzeczy, gdy idzie o twój, pani, szacunek. Skoro życie poświęcić chcę na to, aby nań zasłużyć, nie pozwolę go sobie wydrzeć tak bezkarnie. Jest mi tym bardziej cenny, iż jemu z pewnością mógłbym zawdzięczać ową prośbę, przed którą się tak wzdragasz, a która dałaby mi, jak mówisz, *prawa do twej wdzięczności*. Ach, nie żądam jej od ciebie! Ja to będę czuł raczej wdzięczność niewygasłą, jeżeli dasz mi sposobność, bym się w czymkolwiek tobie stać mógł miłym. Zaczynj więc postępować nieco sprawiedliwiej: nie ukrywaj dłużej, czego ode mnie pragniesz. Gdybym mógł odgadnąć, oszczędziłbym ci trudu mówienia o tym. Do rozkoszy oglądania ciebie, dorzuc szczęście służenia ci, pani, a będę wielbił twą łaskawość. Cóż może cię wstrzymywać? Chyba nie obawa

⁹⁰ *czczy* – nic nieznaczący, nie mający potwierdzenia. [przypis edytorski]

odmowy? Tego, czuję, nie mógłbym ci, pani, przebaczyć. Bo nie jest odmową to, iż dotychczas nie zwróciłem ci listu. Pragnąłbym bardziej od ciebie jeszcze, aby mi nie był już potrzebny: ale przyzwyczajony uwielbiać twą duszę tak pełną słodyczy, jedynie w tym liście mogę cię odnaleźć taką, jaką pragniesz się objawić. Gdy marzę o tym, aby zmiękczyć twoje serce, czytam oto, iż nimbyś się miała na to zgodzić, raczej uciekłabyś o sto mil; gdy cała twa luba istota potęguje i usprawiedliwia mą miłość, list znowu mi powtarza, że miłość moja jest dla ciebie zniewagą; skoro zaś, patrząc na cię, czuję, iż uczucie to jest dla mnie najwyższym dobrem, muszę odczytać twe słowa, by pamiętać, że jest ono mą najsroższą niedolą. Pojmujesz teraz, pani, że mym największym szczęściem byłoby oddać ci ten list złowrogi; żądając zwrotu, uprawniałabyś mnie, bym przestał brać za prawdę to, co on zawiera: nie wątpisz chyba, jak skwapliwie pospieszyłbym usłuchać.

21 sierpnia 17**

List XXXVI

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel
(Znaczony z Dijon)

Surowość twoja, pani, wzmagą się z każdym dniem; zdawałoby się, doprawdy, iż w stosunku do mnie mniej lękasz się być niesprawiedliwą niż zdolną do wyrozumiałości. Wydawszy

wyrok bez wysłuchania mnie, musiałaś uczuć, w istocie, że łatwiej będzie nie czytać moich racji, niżeli na nie odpowiedzieć. Odmawiasz uparcie przyjęcia listów; zwracasz je ze wzgardą. Zmuszasz wreszcie, bym uciekał się do podstępu, w tej chwili właśnie, w której mym jedynym celem jest przekonać panią o mej dobrej wierze. Konieczność obrony, w jakiej mnie postawiłaś, usprawiedliwia wszakże wszystkie środki. W poczuciu szczerości mych uczuć, w przekonaniu, że wystarczy dać ci je poznać w ich prawdziwej istocie, aby uniewinnić się w twoich oczach, odważyłem się na ten niewinny podstęp. Ośmielam się mniemać, że mi go przebaczysz; nie powinno cię dziwić, iż miłość bardziej jest przemyślna w sposobach wynurzania uczuć niż obojętność w oddalaniu ich od siebie.

Pozwól więc, pani, aby me serce odsłoniło się przed tobą całkowicie. Masz prawo, masz obowiązek poznać je do głębi.

Przybywając do pani de Rosemonde, daleki byłem od przewidywania losu, który mnie tu oczekiwał. Nie wiedziałem, że tu przebywasz; dodam nawet, z właściwą mi szczerością, że gdybym i wiedział, nie byłoby mnie to zaniepokoiło; nie, iżbym nie oddawał twym wdziękom należnej sprawiedliwości, ale przywykły podlegać jedynie zachceniom, a poddawać się im tylko wówczas, kiedy je podsyciała nadzieja powodzenia, nie znałem po prostu, co są udręczenia miłości.

Byłaś pani świadkiem, jak bardzo nalegała pani de Rosemonde, bym u niej pozostał przynajmniej czas jakiś. Spędziłem już jeden dzień w twoim towarzystwie: mimo to

uległem jedynie – lub przynajmniej tak mi się zdawało – naturalnej i usprawiedliwionej przyjemności okazania względów sędziwej i czcigodnej krewnej. Rodzaj życia, jaki prowadzimy tutaj, różnił się bardzo, zaiste, od tego, do jakiego byłem przyzwyczajony; mimo to nic mnie nie kosztowało zastosować się doń! Nie starając się zgłębiać przyczyn zmiany, jaka odbywała się we mnie, przypisywałem ją jedynie łatwości mego charakteru, o której, zdaje mi się, już wspominałem kiedyś.

Na nieszczęście (i czemuż trzeba, aby to było nieszczęściem?), poznając cię, pani, lepiej, poznałem wkrótce, że twoja urocza postać, która jedynie z początku ściągnęła mą uwagę, była najmniejszą spomiędzy twych zalet; twoja niebiańska dusza wprawiła w zdumienie, porwała za sobą moją. Podziwiałem piękność, ubóstwiałem cnotę. Nie kusząc się zdobywać cię, pragnąłem stać się ciębie godnym. Odwołując się do twego pobłażania za mą przeszłość, marzyłem o twej sympatii na przyszłość. Szukałem jej w słowach, śledziłem w spojrzeniach; w spojrzeniach, z których płynęła trucizna tym niebezpieczniejsza, że sączona bez zamiaru, wchłaniania bez obawy.

I tak poznałem miłość. Ale jakże daleki byłem wówczas od rozpaczy! Gotowy pogrzebać ją w wieczystym milczeniu, oddawałem się bez obawy, zarówno jak bez miary, rozkosznemu uczuciu. Każdy dzień pomnażał jego potęgę. Wkrótce przyjemność widywania cię stała się koniecznością. Skoro tylko oddaliłaś się na chwilę, serce moje ścisnęło się z żalu;

szelest, który zwiastował twój powrót, przyprawiał je o drzenie. Istniałem już jedynie dla ciebie i przez ciebie. Mimo to ciebie samą wzywam na świadectwo: czy kiedykolwiek, bądź to wśród wesołości niewinnych igraszek, bądź wówczas, gdy nas pochłaniała poważna rozmowa, wymknęło mi się bodaj jedno słowo zdolne zdradzić tajemnicę mego serca?

Wreszcie nadszedł dzień, w którym miała się rozpocząć moja niedola: przez jakiś niepojęty fatalizm⁹¹ dobry uczynek stał się jej zwiastunem. Tak, pani, w obliczu tych nieszczęśliwych, którym użyczyłem pomocy, ty, pani, objawiając skarby tej najcenniejszej tkliwości, która upiększa piękność samą i dodaje blasku cnocie, obłąkałaś do reszty serce, już nieprzytomne z nadmiaru miłości. Przypominasz sobie może zamyślenie, w jakim utonałem w czasie owego powrotu! Niestety! Starałem się jeszcze walczyć ze skłonnością, która, czułem to, stawała się mocniejszą ode mnie.

Wówczas to, kiedy już wyczerpałem siły w nierównej walce, przypadek, którego nie byłem mocen⁹² przewidzieć, kazał mi znaleźć się sam na sam z tobą. Tutaj uległem, wyznaję. Serce moje, nazbyt wezbrane, nie zdołało powstrzymać ani słów, ani łez, które się zeń⁹³ wydarły przemocą. Ale czyż to jest zbrodnią? A jeśli nawet, czy nie dosyć ukarany jestem przez straszliwe

⁹¹ *fatalizm* – nieunikniony los. [przypis edytorski]

⁹² *nie byłem mocen* – dziś: nie byłem w mocy; nie mogłem, nie byłem w stanie. [przypis edytorski]

⁹³ *zeń* – skrócone: z niego. [przypis edytorski]

cierpienia, których doznają?

Pożerany miłością bez cienia nadziei, błagam cię, pani, o litość i znajduję nienawiść; jedyne szczęście czerpiąc w twym widoku, mimo woli szukam cię oczyma i drzę przed spotkaniem twych spojrzeń. W okropnym stanie, do jakiegoś mnie doprowadziła, trawię dni na ukrywaniu mych cierpień, noce zaś na oddawaniu się im ze zdwojoną siłą; podczas gdy ty, spokojna i obojętna, jeśli znasz te męczarnie, to tylko stąd, że umiesz je zadawać i dumę czerpać z własnych okrucieństw. Mimo to ty, pani, się uskarżasz, a ja się usprawiedliwiam!

Oto wszystko, pani, oto wierne przedstawienie moich, jak nazywasz, błędów, które może słuszniej byłoby nazywać mym nieszczęściem. Miłość czysta i szczerą, cześć niezmacona ani na chwilę, poddanie się bez granic: oto uczucia, jakimi mnie natchnęłaś. Takiego hołdu nie obawiałbym się przedłożyć samemu Bóstwu. O ty, która jesteś jego najpiękniejszym dziełem, chciej naśladować je w dobroci i pobłażaniu! Wejrzyj na me okrutne męczarnie; pomyśl zwłaszcza, że nieszczęsnemu, postawionemu przez ciebie między najwyższą szczęśliwością a najstraszliwszą rozpaczą, pierwsze słowo, które wyrzekniesz, będzie wyrokiem wiekuistego losu.

23 sierpnia 17**

List XXXVII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Poddaję się, pani, radom, które dyktuje ci przyjaźń. Przywykła szanować we wszystkim twe zapatrywania, zawsze gotowa jestem zarazem wierzyć w ich słuszność i rozum. Przyznam nawet, że pan de Valmont musi być w istocie człowiekiem bardzo niebezpiecznym, jeżeli potrafi równocześnie udawać takiego, jakim jest tutaj, a w głębi zostać tym, jakim go pani maluje. Jak bądź się rzeczy mają, skoro ty tego żadasz, oddalę go od siebie: uczynię przynajmniej po temu, co będzie w mej mocy, nieraz bowiem rzeczy w treści bardzo proste, stają się kłopotliwe przez swą formę.

Ciągle wydaje mi się niepodobieństwem prosić o to jego ciotkę: żądanie takie byłoby uchybieniem zarówno jej, jak jemu. Bardzo niechętnie również zdecydowałabym się sama wyjechać; pomijając już bowiem przyczyny, które przytoczyłam poprzednio, gdyby mój wyjazd, co być bardzo może, był nie po myśli pana de Valmont, czyż nie mógłby on z łatwością pośpieszyć za mną do Paryża? Powrót zaś ten, którego ja, przynajmniej w oczach ludzi, byłabym powodem, czyż nie bardziej jeszcze byłby rażącym niż spotkanie na wsi u osoby, o której cały świat wie, iż jest jego krewną, a moją przyjaciółką?

Pozostaje mi więc tylko skłonić jego samego, aby zechciał się usunąć. Czuję, że nie jest zbyt łatwo uczynić taką propozycję,

ponieważ jednak, o ile mi się wydaje, panu de Valmont zależy na tym, aby mi dowieść, iż w istocie lepszym jest od swej reputacji, nie tracę nadziei. Rada nawet będę, że będę miała sposobność ocenić, czy prawdą jest, co on często powiada, iż nigdy uczciwa kobieta nie miała ani nie będzie miała powodu uskarżać się na jego postępowanie. Jeśli odjedzie, jak bym pragnęła, uczyni to w istocie jedynie przez wzgląd dla mnie: wiem dobrze, że miał zamiar zabawić do późnej jesieni. Jeśli odmówi i uprze się zostać, zawsze będę miała dość czasu, aby wyjechać i przyrzekam to uczynić.

Oto, jak sądzę, wszystko, czego przyjaźń twoja żądała: pospieszam skwapliwie uczynić jej zadość i dowieść, iż mimo *zapału*, z jakim mogłam ujmować się za panem de Valmont, zawsze skłonna jestem nie tylko wysłuchać, lecz i wypełnić rady mych dobrych przyjaciół.

Mam zaszczyt etc.

24 sierpnia 17**

List XXXVIII

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont

Odebrałam przed chwilą olbrzymi pakiet, drogi wicehrabio. Jeżeli data jest ścisła, powinnam go była otrzymać o dobę wcześniej; ale to pewna, że, gdybym obróciła czas na czytanie

tych foliałów⁹⁴, zbrakłoby mi go z pewnością na odpowiedź. Wolę zatem poprzestać na potwierdzeniu odbioru i na razie pomówić o czym innym. Nie sądzę z tego, iż mam ci coś do opowiedzenia na własny rachunek: jesień ogałaca Paryż niemal ze wszystkich mężczyzn bodaj trochę podobnych do ludzi, toteż odznaczam się od miesiąca wiernością wprost morderczą i każdy, prócz kawalera, byłby już znużony dowodami mej stałości. Pozostając tedy w przymusowym bezrobociu, próbuję się rozrywać z małą de Volanges; o niej właśnie chcę pomówić.

Czy wiesz, że więcej, niż myślisz, straciłeś na tym, że nie chciałeś się zająć tym dzieckiem? Rozkoszna jest, doprawdy! Lube⁹⁵ stworzonko: ani charakteru, ani zasad; pomyśl, co za nieocenione zalety w pożyciu! Nie sądzę, by kiedykolwiek silną jej stroną miało być uczucie; ale wszystko zapowiada obudzenie zmysłów bardzo a bardzo obiecujące. Inteligencji tam nie ma; nawet sprytu; posiada jednak pewną naturalną, jeśli można się tak wyrazić, zdolność fałszu, która nieraz zdumiewa mnie samą i która ma tym więcej widoków powodzenia, ile że twarzyczka przedstawia sam obraz prostoty i niewinności. Z natury wielki z niej pieszczoch, z czego nieraz mam trochę rozrywki: nie uwierzyłbyś, jak ta główka umie się rozpalać; a tym zabawniejsza przez to, że nie wie nic, ale to zupełnie nic, a chciałyby wiedzieć

⁹⁴ *foliał* – gruba książka dużych rozmiarów, przen.: obszerne dzieło. [przypis edytorski]

⁹⁵ *luby* (daw.) – miły, przyjemny, kochany. [przypis edytorski]

wszystko. Paradna⁹⁶ jest czasem doprawdy: śmieje się, złości, płacze, a potem prosi, aby ją nauczyć, i to z naiwnością wprost rozczulającą. Doprawdy, prawie że jestem zazdrosna o tego, komu los przeznaczył w udziale tę przyjemność.

Nie wiem, czy ci pisałam, że od kilku dni mam zaszczyt być jej powiernicą. Domyślasz się, że zrazu⁹⁷ trzymałam się bardzo ostro: ale skoro tylko małej mogło się zdawać, że mnie przekonała swymi głupiutkimi argumentami, udałam, że je biorę za dobrą monetę⁹⁸. Jest tedy najpewniejsza w świecie, że zawdzięcza ten sukces swej wymowie: uważałam za właściwe zachować tę ostrożność, aby się zanadto nie odsłaniać. Pozwoliłam jej pisać i mówić: *kocham*; tegoż samego dnia, nie wspominając ani słowa, dostarczyłam jej sposobności *sam na sam* z Dancenym. Ale, wyobraź sobie, z niego jeszcze taki głuptasek, że nie umiał uzyskać nawet pocałunku. A przecież ten chłopak pisuje bardzo ładne wiersze! Mój Boże! Jacyż ci inteligentni ludzie są głupi! Nie wiem, doprawdy, co z nim począć; jego przecież nie mogę prowadzić za rączkę!

Obecnie tedy mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Jesteś dość blisko z Dancenym, aby wydobyć z niego jakieś zwierzenia, gdyby zaś raz wszedł na tę drogę, pojechalibyśmy gładko. Załatw się zatem co rychlej z prezydentową, bo – tak czy owak – nie chcę, aby Gercourt miał wyjść cało. Rozgadałam

⁹⁶ *paradny* (daw.) – zabawny, śmieszny. [przypis edytorski]

⁹⁷ *zrazu* – początkowo. [przypis edytorski]

⁹⁸ *brać za dobrą monetę* – wierzyć w coś, uznawać za prawdę. [przypis edytorski]

się już zresztą o nim z młodą osobką i odmalowałam go tak skutecznie, że gdyby była jego żoną od lat dziesięciu, nie mogłaby go lepiej nienawidzić. Mimo to nie szczędziłam kazań na punkcie małżeńskiej wierności; okazałam w tym względzie wprost budującą surowość. Przez to z jednej strony utrwalam w jej oczach mą reputację, której nadmierna pobłażliwość mogłaby zaszkodzić; z drugiej potęguję w niej tę nienawiść, z jakiej pragnę uczynić podarek ślubny mężowi. Wreszcie, utwierdzając przekonanie, że wolno jej żyć dla miłości jedynie przez ten krótki czas panieństwa, mam nadzieję, że łatwiej rozwinie się w niej chęćka, aby nic zeń nie uronić.

Do widzenia, wicehrabio; zabiorę się do toalety albo też zacznę czytać twoje foliały.

27 sierpnia 17**

List XXXIX

Cecylia Volanges do Zofii Carnay

Smutna jestem i niespokojna, Zosiu droga. Płakałam prawie całą noc. Wprawdzie, mimo wszystko, na razie czuję się i tak bardzo szczęśliwą, ale boję się, że to niedługo potrwa.

Byłam wczoraj w Operze z panią de Merteuil; rozmawiałyśmy dużo o moim małżeństwie, ale to, co usłyszałam, wcale mnie nie pocieszyło. Mój przyszły mąż nazywa się hrabia de Gercourt, a ślub ma być już w październiku. Jest bogaty, pochodzi

ze znakomitej rodziny, jest pułkownikiem w pułku **. Aż dotąd wszystko bardzo ładnie. Ale przede wszystkim jest stary: wyobraź sobie, ma co najmniej trzydzieści sześć lat! A potem pani de Merteuil mówi, że jest ponury i zgryźliwy; obawia się, że nie będę z nim szczęśliwa. Widziałam nawet po niej, że całkiem na pewno tak myśli, tylko nie chciała wyraźnie powiedzieć, żeby mnie nie martwić. Prawie cały wieczór mówiła tylko o obowiązkach żony: przyznaje, że pan de Gercourt nie jest miły ani powabny, a jednak mówi, że trzeba koniecznie go kochać. Powiedziała także, że, gdy raz wyjdę za mąż, nie wolno mi będzie kochać kawalera Danceny! Jak gdyby to było możliwe! Och! Co do tego, ręczę ci, że będę go kochała zawsze. To już bym wolała wcale nie iść za mąż. Niech ten pan Gercourt robi sobie, co mu się podoba, ja go wcale nie prosiłam. Teraz jest na Korsyce, bardzo daleko; chciałabym, żeby tam siedział z dziesięć lat. Gdybym się nie bała, że mnie wsadzą na powrót do klasztoru, zaraz bym powiedziała mamie, że nie chcę takiego męża; ale to by było jeszcze gorzej.

Wielki mam kłopot, Zosieńko. Czuję, że nigdy jeszcze tak nie kochałam pana Danceny; i kiedy pomyślę, że już tylko miesiąc tego życia, zaraz mi łzy napływają do oczu. Jedyłą pociechą jest przyjaźń pani de Merteuil; ona ma takie dobre serce! Każdym moim zmartwieniem przejmuje się na równi ze mną; przy tym taka miła, że jak jestem z nią razem, już prawie o tamtym nie myślę. Bardzo dużo korzystam w jej towarzystwie; to troszkę, co wiem, to wszystko od niej; i taka dobra, że mówię jej wszystko,

co myślę, bez najmniejszego zawstydzenia. Kiedy ona uważa, że coś jest niedobrze, łaje mnie czasem, ale bardzo łagodnie; potem całuję ją i ściskam z całego serca tak długo, aż się przestanie gniewać. Przynajmniej co ją, to wolno mi kochać, ile mi się spodoba i nic w tym nie ma złego; strasznie się cieszę. Ułożyłyśmy się jednak, że nie będę pokazywała przy wszystkich, że ją tak bardzo kocham, zwłaszcza przed mamą nie, żeby się nie domyśliła czego o kawalerze Danceny. Zareczam ci, że gdybym mogła zawsze żyć tak jak teraz, byłabym bardzo szczęśliwa. Tylko ten paskudny pan de Gercourt!... Ale nie chcę już więcej o nim mówić; znowu bym się zrobiła smutna. Zamiast tego wolę napisać do kawalera Danceny; będę mówiła tylko o mojej miłości, nie o zgryzotach, bo nie chcę go zmartwić.

Do widzenia, moja złota. Widzisz więc, że niesłusznie żaliłaś się na mnie i że, mimo że jestem *zajęta*, jak mówisz, zawsze zostanie mi dość czasu, aby cię kochać i pisać do ciebie⁹⁹.

27 sierpnia 17**

List XL

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Nie dość już okrutnej, że nie odpowiada na listy, że odmawia

⁹⁹ (...) *zawsze zostanie mi dość czasu, aby (...) pisać do ciebie* – pomija się w dalszym ciągu listy Cecylii Volanges i kawalera Danceny, jako mało interesujące i niezawierające żadnych godnych uwagi wydarzeń. [przypis autorski]

ich przyjęcia; chce mnie pozbawić i swego widoku, żąda, abym się usunął. Bardziej się może zadziwisz, markizo, że ja się poddaję tym surowym wyrokom. Zganisz mnie za to. A jednak, zdawało mi się, iż dobrze jest nie wypuszczać sposobności przyjęcia od niej *rozkazu*. Z jednej strony, moim zdaniem, ktoś, kto rozkazuje, tym samym zaciąga zobowiązania; z drugiej, uważam, że najtrudniejszą do uniknięcia pułapką dla kobiety jest owa złudna przewaga, jaką jej pozornie przyznajemy. A przy tym, dzięki zręczności, z jaką pani de Tourvel umiała się wystrzegać każdej chwili rozmowy, położenie zaczynało się stawać bardzo niebezpiecznym: trzeba było zeń wyjść za każdą cenę. Przebywając bezustannie w jej towarzystwie bez możliwości zaprzątania jej mą miłością, miałem wszelkie powody obawiać się, iż osoba moja przestanie wreszcie być dla niej źródłem ciągłego niepokoju: sama wiesz, jak trudno później to odzyskać.

Zgadujesz zresztą, że nie poddałem się bez jakichś warunków. Byłem nawet o tyle przezorny, że postawiłem jeden, niepodobny do przyjęcia; zarówno aby zostać zawsze panem dotrzymania słowa lub wycofania się, jak również aby dać początek dyskusji, bądź pisemnej, bądź ustnej, w chwili gdy moja pani sama najprzychylniej jest dla mnie usposobiona, a zarazem najbardziej musi mnie oszczędzać. Wreszcie musiałbym być bardzo niezręczny, gdybym nie znalazł sposobu wytargowania jakiejś kompensaty¹⁰⁰, w razie gdybym odstąpił od tej pretensji¹⁰¹

¹⁰⁰ *kompensata* – wynagrodzenie strat lub krzywd. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *pretensja* – tu: prawo, które ktoś przyznaje sobie do czegoś. [przypis edytorski]

mimo całej jej niewykonalności.

Wyłożywszy tedy moje racje w tym przydługim wstępie, przystępuję do skreślenia historycznego przebiegu ostatnich dni. Jako dokument załączam list mego ideału i moją odpowiedź. Przyznasz, że co do ścisłości niewielu dziejopisów mogłoby ze mną rywalizować.

Przypominasz sobie wrażenie, jakie wywołał przedwczoraj mój list z *Dijon*: reszta dnia spływała równie burzliwie. Skromnisia zjawiała się dopiero do obiadu i oznajmiła, że ma silną migrenę: pozór, którym chciała pokryć widoczne i gwałtowne rozdrażnienie. Stan wewnętrzny odbił się również na twarzy; owa słodycz spojrzenia, która, jak pamiętasz, jest dla niej tak znamioną, zmieniła się w wyraz jakiegoś dąsu, co prawda zdobiącego jej piękność nowym wdziękiem. Przyrzekam sobie, iż w przyszłości będę korzystał z tego odkrycia i nie omieszkać podręczyć jej od czasu do czasu.

Poobiedzie zapowiadało się niezabawnie; toteż pragnąc go sobie oszczędzić, wymówiłem się pilnymi listami i schroniłem do siebie. Wróciłem do salonu około szóstej; pani de Rosemonde zaproponowała przejażdżkę, co zostało przychylnie przyjęte. Ale w chwili siadania do powozu pani de Tourvel, w przystępie jakiejś piekielnej złośliwości (być może, aby się zemścić za moje zniknięcie po obiedzie), wymyśliła nowy napad migreny i zostawiła mnie bez litości na pastwę przejażdżki sam na sam z ciotką. Za powrotem¹⁰² dowiedzieliśmy się, że się położyła.

¹⁰² za powrotem (daw.) – dziś: po powrocie. [przypis edytorski]

Nazajutrz przy śniadaniu już nie ta sama kobieta. Wrodzona słodycz wróciła na oblicze; mogłem mniemać, że wszystko już odpuszczone. Ledwie śniadanie dobiegło do końca, luba istota podniosła się od niechcienia i skierowała w stronę parku; domyślasz się, że pospieszyłem za nią. „Co mogło obudzić tę ochotę do przechadzki?” – rzekłem, zbliżając się do niej. – „Pisałam dużo dziś rano – odparła – i głowę mam nieco zmęczoną”. – „Nie mnie zapewne przypadło szczęście – wtrąciłem – abym się stał powodem tego utrudzenia?” – „Owszem, pisałam do pana – odparła znowu – ale waham się, czy oddać list... Zawiera pewną prośbę, a zwykłe postępowanie pańskie nie pozwala mi żywić zbytnej wiary w jej powodzenie”. – „Ach, przysięgam, że jeśli tylko zdołam...” – „Nic łatwiejszego pod słońcem – przerwała – jakkolwiek miałabym prawo odwołać się z tą prośbą jedynie do pańskiego sumienia, godzę się przyjąć spełnienie jej jako łaskę...” Przy tych słowach podała mi list; biorąc, ująłem zarazem i rękę. Cofnęła ją, ale bez gniewu, raczej z zakłopotaniem. „Upał większy niż myślałam – rzekła – trzeba wracać”. To mówiąc, skierowała się ku zamkowi. Czyniłem próżne wysiłki, aby ją nakłonić do dalszej przechadzki; musiałem przywołać na pomoc całą rozwagę, aby się ograniczyć w perswazjach jedynie do słownej wymowy. Znalazłszy się w zamku, pani de Tourvel udała się do swych pokoi, ja również schroniłem się do siebie, aby utworzyć list, którego przeczytanie, zarówno jak moją odpowiedź, gorąco ci zalecam, zanim pójdziemy dalej.

List XLI

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

Sądząc z pańskiego postępowania, zdawałoby się, że jedynie myśli pan o tym, czym by pomnożyć każdego dnia przyczyny żalu, jaki mam do niego. Wytrwałość, z jaką bezustannie mówi mi pan o uczuciu, o którym nie chcę i nie powinnam słyszeć; ustawiczne nadużywanie mej dobrej wiary albo nieśmiałości; sposób zwłaszcza, śmiem powiedzieć, mało delikatny, jakim się posłużyłeś, aby przesłać list ostatni, wszystko to powinno by ściągnąć na pana wymówki równie żywe, jak zasłużone. Mimo to, miast powracać do tych zarzutów, ograniczam się do prośby, równie prostej jak słusznej; jeżeli uzyskam jej spełnienie, godzę się puścić w niepamięć wszystkie żale.

Pragnę zatem, aby pan zechciał się oddalić; abyś opuścił zamek, w którym dłuższy pobyt pański musiałby na mnie ściągnąć potępienie świata, zawsze skłonnego do myślenia źle o drugich, świata, który przyzwyczyłeś aż nadto, aby surowo sądził kobiety odważające się przebywać w pańskim towarzystwie.

Ostrzegana już od dawna o tym niebezpieczeństwie przez moich przyjaciół, nie zważałam na ich sądy, spierałam się nawet z nimi, dopóki pańskie zachowanie pozwalało wierzyć, iż raczysz nie stawiać mnie w równym rzędzie z tłumem kobiet skrzywdzonych i znieważonych przez pana. Dziś, kiedy

traktujesz mnie na równi z nimi, kiedy nie mogę mieć pod tym względem żadnych wątpliwości, winna jestem opinii świata, przyjaciołom, sobie samej, aby się uciec do tego koniecznego środka. Mogłabym dodać, iż nic nie zyskałby pan, odmawiając mej prośbie, gdyż gotowa jestem wyjechać sama, jeżeli pan zechce pozostać: ale nie staram się zmniejszyć wdzięczności, jaką będę czuła dla pana za tę uprzejmość i nie taję, iż zmuszając mnie do wyjazdu, sprawiłby mi pan wielki kłopot. Chciej mi więc dowieść, że – jak tyle razy zapewniałeś – uczciwe kobiety nigdy nie będą miały przyczyny uskarżać się na pana; dowiedź przynajmniej, że nawet kiedy ci się zdarzy dopuścić względem nich jakiej winy, umiesz i chcesz ją naprawić.

Gdybym potrzebowała szukać usprawiedliwienia mej prośby, wystarczyłoby mi powiedzieć panu, iż życie całe strawiłeś na tym, aby uczynić ją niezbędną. Mimo to w twojej mocy było jej uniknąć. Ale nie poruszajmy wydarzeń, o których pragnę zapomnieć i które zmuszałyby mnie do surowego sądu o panu w chwili, gdy ofiaruję panu sposobność pozyskania całej mej wdzięczności. Żegnam pana; postąpienie pańskie pouczy mnie, z jakimi uczuciami mam zostać na całe życie pańską powolną¹⁰³ etc.

25 sierpnia 17**

¹⁰³ *powolny* (daw.) – poddający się czemuś (czyjejś woli), dający sobą kierować, posłuszny, podporządkowany. [przypis edytorski]

List XLII

Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel

Jakkolwiek, pani, twarde warunki mi nakładasz, nie uchylam się od ich spełnienia. Czuję, że niepodobieństwem byłoby dla mnie sprzeciwić się twemu życzeniu. Skoro tedy porozumieliśmy się co do tego punktu, ośmielam się mniemać, że z kolei i pani pozwolisz mi przedłożyć pewne prośby, nieskończenie skromniejsze, których ziszczenie pragnę zawdzięczać jedynie zupełnemu poddaniu się twej woli.

Pierwszą prośbą, która, mam nadzieję, znajdzie poparcie w twoim poczuciu sprawiedliwości, jest, abyś zechciała wymienić mi moich oskarżycieli; wyrządzili mi, jak sądzę, dość złego, abym miał prawo poznać ich po imieniu. Druga łaska, której oczekuję po twej wspaniałomyślności, to abyś raczyła od czasu do czasu nie wzbraniać się przed przyjęciem najpoddającego hołdu miłości, która teraz, bardziej niż kiedykolwiek, powinna mieć prawo do twego współczucia.

Pomyśl pani, że ja skwapliwie poddaję się twym rozkazom, nawet wówczas gdy mogę to uczynić jedynie kosztem mego szczęścia i mimo przekonania, że pragniesz mego wyjazdu jedynie dlatego, aby sobie oszczędzić przykrości oglądania przedmiotu swego okrucieństwa. Oddalasz mnie od siebie, jak się odwraca wzrok od nieszczęśliwego, któremu się nie chce dopomóc.

Ale wówczas, gdy rozłączenie zdwoi moje męczarnie, komuż innemu, jak nie tobie, pani, mogę powierzyć me skargi? Od kogóż mogę oczekiwać pociechy, której tak bardzo będę potrzebował? Czyż mi jej odmówisz, ty, która jesteś jedyną sprawczynią mych udręczeń?

Nie powinno pani również dziwić, że zanim odjadę, chciałbym usprawiedliwić się przed tobą z uczuć, którymi mnie natchnęłaś; również nie zdobędę się na odwagę oddalenia się stąd, póki nie otrzymam z własnych ust twoich wyraźnego rozkazu.

Ta podwójna przyczyna każe mi prosić panią o chwilę spotkania. Na próżno usiłowałibyśmy zastąpić ją listami: pisze się tomy całe na próżno, wówczas gdy dla porozumienia wystarczyłby kwadrans rozmowy. Czasu mamy pod dostatkiem: mimo skwapliwości, z jaką pragnąłbym pani usłuchać, trzeba mi będzie, bodaj ze względu na ciotkę, doczekać jakiegoś listu, powołującego mnie rzekomo do Paryża. Żegnam panią; nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko wymówić to słowo jak teraz, gdy przywodzi mi ono na pamięć myśl o rozstaniu. Gdybyś mogła, pani, wyobrazić sobie, ile cierpię, miałabyś dla mnie, śmiem wierzyć, nieco uznania za me posłuszeństwo. Chciej przyjąć przynajmniej z większą niż dotąd wyrozumiałością zapewnienie i wyrazy miłości równie tkliwej, jak pełnej bezgranicznego szacunku.

25 sierpnia 17**

Dalszy ciąg listu XL

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

A teraz roztrząsnijmy rzecz razem, piękna przyjaciółko. Pojmujesz, jak i ja, że skrupulatna, uczciwa pani de Tourvel nie może wypełnić pierwszego żądania i zdradzić zaufania przyjaciół, wymieniając moich oskarżycieli. Zatem, przyrzekając wszystko pod tym warunkiem, nie zobowiązuję się do niczego. Ale rozumiesz także, że jej niezawodna odmowa stanie się tytułem do uzyskania dalszych punktów i że wówczas, oddalając się, zyskuję to, iż wchodzę z nią, i to za jej zgodą, w stałą korespondencję. Co się tyczy schadzki, o którą proszę, nie przywiązuję do tego większej wagi; jedynym celem moim jest oswoić ją z podobnymi żądaniami na przyszłość.

Jedno, co mi pozostało przed wyjazdem, to dowiedzieć się, kto taki pozwala sobie szkodzić mi w jej oczach. Przypuszczam, że to szanowny małżonek; chciałbym, aby tak było. Pomijając, że zakaz małżeński jest zawsze jedynie zastrzeżeniem ochoty, jestem pewny, że z chwilą gdy dama zgodzi się pisywać do mnie, mąż przestanie być niebezpieczny, skoro tym samym pani wejdzie na drogę oszukiwania go.

Natomiast jeśli to jakaś przyjaciółka otrzymuje jej zwierzenia i judzi przeciwko mnie, pierwszym mym zadaniem będzie poróżnić je z sobą i mam nadzieję, że zdołam to osiągnąć. Przede wszystkim trzeba wybadać, jak się w istocie rzeczy mają.

Myślałem, że mi się to uda wczoraj; ale ta kobieta nic tak nie robi jak inne. Byliśmy w jej pokoju w chwili, gdy oznajmiono obiad. Kończyła ledwo toaletę, śpiesząc się i tłumacząc, przy czym zauważyłem, iż zostawiła kluczyk od sekretarzyka w zamku; znam zaś jej zwyczaj, iż nigdy nie wyjmuje z drzwi klucza od pokoju. Rozmyślałem nad tym w czasie obiadu, gdy usłyszałem, że pokojówka jej schodzi na dół. Powziąłem plan w jednej chwili; udałem, że mi zaczęła iść krew z nosa i wyszedłem. Pomknąłem do sekretarzyka; wszystkie szuflady otwarte, ani kawałeczka zapisanego papieru. Gdzież ona może podziewać listy, które dostaje? A dostaje często! Nie pominąłem żadnej kryjówki; wszystko było otwarte, szukałem wszędzie: nic nie zyskałem, prócz przeświadczenia, że ten cenny skarb musi się znajdować w kieszeniach jej sukien.

Jak go wydobyć? Od wczoraj łamię sobie na próżno głowę. Żałuję, iż nie posiadam złodziejskich talentów. Doprawdy, ta sztuka powinna by wchodzić w skład wychowania człowieka przeznaczonego do podbojów miłosnych. Ale rodzice nasi nie troszczą się o nic; ja zaś na próżno bym się dziś silił to nadrobić, widzę ze smutkiem, że jestem tylko niezdara bez ratunku.

Koniec końców, musiałem wrócić do stołu, bardzo nierad z siebie. Moja Piękność ułagodziła nieco ten zły humor, okazując mi wielką troskliwość z powodu udanego zaśląbnięcia; nie omieszkałem napomknąć, że od niejakiego czasu podlegam wzruszeniom, które bardzo nieszczególnie wpływają na me zdrowie. Wiedząc doskonale, że sama jest tego przyczyną,

czyż nie powinna by się poczuwać do obowiązku dostarczenia najskuteczniejszego lekarstwa? Ale ona, choć taka święta, mało skłonna jest do miłosierdzia; odmawia uporczywie jałmużny miłosnej; toteż upór ten wystarcza, jak sędzę, najzupełniej do uprawnienia kradzieży. Do widzenia; gawędzę z tobą, markizo, a cały czas myślę o tych przeklętych listach.

26 sierpnia 17**

List XLIII

Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont

I czemuż stara się pan umniejszyć mą wdzięczność? Czemu chcesz być posłusznym jedynie w połowie i czynisz przedmiotem targów swoje szlachetne postąpienie? Czyż nie wystarcza, że ja czuję całą jego wartość? Nie tylko żądasz pan wiele: żądasz wprost rzeczy niepodobnych. Jeśli w istocie przyjaciele ostrzegali mnie przed panem, uczynili to z pewnością jedynie przez troskliwość: gdyby nawet zdarzyło się im omylić, chęci były najlepsze. I pan żądasz ode mnie, abym odplaciła ten dowód przywiązania, zdradzając ich tajemnice! Odwołuję się do pana samego, do pańskiego poczucia honoru; czy przypuszczał pan, iż będę zdolną do takiego postąpienia? Czy godziło się mnie do tego namawiać? Sędzę, że nie: jestem pewna, iż zastanowiwszy się głębiej, nie ponowi pan tego żądania.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.